

ADRES REDAKCJI:

43-300 Bielsko-Biała, Plac Wolności 1/5

tel.: (033) 816 60 18, tel.: (033) 821 79 17, fax: (033) 812 41 90,

E-MAIL:

info@romantycznystyl.pl,

INTERNET:

www.romantycznystyl.pl

REDAKTOR NACZELNY:

Krzysztof Lelek

Z-CIA RED. NACZELNEGO:

Piotr Godlewski

REDAKTOR PROWADZĄCY:

Michał Łojewski

0 601 525 407

michal@romantycznystyl.pl

ZESPÓŁ:

Marta Lelek

Anna Godlewska

Anna Willman

Marek Bernacki

OSOBY WSPÓŁPRACUJĄCE:

Renata Hryń-Kuśmierek

Elżbieta Oleksy

Joanna Wójcik

Piotr Lelek

Mirosław Sosna

STALI FELIETONIŚCI:

Ludwik Stomma

Krzysztof Zanussi

Wiktor Zin

LAYOUT:

Piotr Karczewski

GRAFIKA:

Piotr Tomasik

REKLAMA, PROMOCJA:

Arkadiusz Woch

0 602 48 49 15

arek@studio-atrium.com.pl

Artur Lipiec

0 601 598 796

artur@studio-atrium.com.pl

OPRACOWANIA KOMPUTEROWE

RENDERINGÓW:

NAŚWIETLANIE:

DRUK:

ARCH – STUDIO

PRACOWNIA I

POLIGRAFIA S.A.

Drukarnia w Katowicach

poprzednio MARQUARD

PRESS SA

WYDAWNICTWO:

STUDIO ATRIUM

43-300 Bielsko-Biała

ul. Małczewskiego 1

tel.: (033) 816 40 69

tel./fax: (033) 822 94 96



Nakład: 50 000 egz.

Redakcja ROMANTYCZNY STYL nie zwraca materiałów niezamówionych. Jednocześnie zastrzegamy sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów. Poza tym redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczonych reklam. Wydawca ma prawo odmówić zamieszczania ogłoszeń i reklam, jeżeli ich treść lub forma są sprzeczne z charakterem pisma (art. 36 pkt 4 prawa prasowego) oraz interesem Wydawnictwa STUDIO ATRIUM. Wszelkie przedruki z ROMANTYCZNEGO STYLU dozwolone są wyłącznie za uprzednią pisemną zgodą wydawcy Wydawnictwa STUDIO ATRIUM. ROMANTYCZNY STYL jest chronionym znakiem towarowym i używanie go przez kogokolwiek w jakiegokolwiek formie i celu jest bezprawne.



4 MIESZKANIE
MIĘDZY ZIEMIĄ A NIEBEM

10 ANNA WILLMAN:
ALFABET ROMANTYCZNY
Dziecko

12 DOM PEŁEN POMYSŁÓW

17 WIKTOR ZIN:
MAGIA MARTWYCH
PRZEDMIOTÓW
Zabytek spod dziurawej strzechy

20 KOMFORT W OGRODZIE
Czas sjęty

26 PROJEKTY ROMANTYCZNEGO
STYLU: GL 82

28 RENATA HRYŃ-KUŚMIEREK:
KARTKI Z DAWNEGO
KALENDARZA
„Wila wianki i...”

29 KSIĘŻNICZKI Z DZIECIŃSTWA

33 NIE WSZYSTKO JEST NA
SPRZEDAŻ
Rozmowa z Małgorzatą Kożuchowską

38 AFRODYTA I RÓŻE

40 PROJEKTY ROMANTYCZNEGO
STYLU: GL 97

42 O WIEDZY TAJEMNEJ

44 LEKCJA MALOWANIA
Pokoje i ich barwy

49 STĄPAJĄC PO SKORUPKACH

54 POSTACIE JAZZU:
DOBRY DUCH JAZZU
Rozmowa z J. Ptaszynem Wróblewskim

58 CZAS HERBATY

61 RADŻASTAN
Notatki z podróży

65 SZANSA NA PŁYTĘ CD
Czyli promocja młodych talentów

66 DRUCIANE NOSTALGIE
BULGARSKIEGO ARTYSTY

68 W PARYSKIEJ REZYDENCJI

75 UCHRONIĆ OD ZAPOMNIENIA
Ludzie z pasją

81 O TYM, JAK PRÓBOWAŁYŚMY NIE
ROZMAWIAĆ O MĘŻCZYZNACH
Rozmowa z Marylą Rodowicz

84 PROJEKTY ROMANTYCZNEGO
STYLU: GL 100

86 KRZYSZTOF ZANUSSI
Wielki Brat, czyli dyktatura prostactwa

87 PRENUMERATA

88 W NASTĘPNYM NUMERZE

90 CO KRYJE SIĘ ZA SZARYM
MUREM?

94 KRZYŻÓWKA
WIELKI KONKURS
na Najbardziej Romantyczną Historię

96 LUDWIK STOMMA
Veblen po wieku





Tekst: Anna Omulecka

Zdjęcia: Piotr Lelek

Mieszkanie między ziemią a niebem

ARTYŚCI W CZASACH PRL-OWSKICH NAJCZĘŚCIEJ SWÓJ KĄT DO PRACY MIELI TAM, GDZIE IM WYZNACZONO: NA PODDASZACH W ZIMNYCH, NIEPRZYJAZNYCH WIEŻOWCACH. SĄ TO MIEJSCA BLIŻEJ NIEBA, KTÓRE CZASEM STAWAŁY SIĘ Z KONIECZNOŚCI NIE TYLKO PRACOWNIĄ, ALE I DOMEM NA CAŁE DOBRE I ZŁE ŻYCIE.

Jest taki wieżowiec, jak tysiące innych w Łodzi – szary, bury wśród monotonii betonowych kwadratów. Winda jedzie na dziesiąte piętro, potem jeszcze cementowe schody prowadzą na ostatni poziom.

W tunelu jedenastego piętra zwyczajne drzwi, a za nimi objawia się niespodziewanie zupełnie inna, nierealna przestrzeń – świat Andrzeja Różyckiego, reżysera, historyka sztuki i fotografika w jednej osobie, Bożenki – etnologa i ich dziecka. Jest to kraina barw, kwiatów, różności materii i zapachów. Wszędzie panoszą się, wypełniające każdą wolną przestrzeń, zasuszone zioła i kwiaty, żyjące w dziwnej symbiozie z żywą zielenią.

Całe mieszkanie to jedna wielka galeria sztuki ludowej, choć nie tylko. Są tu rzeczy najróżniejsze – znaleziska wyszperane w najrozmaitszych zakątkach kraju. Nic nie jest specjalnie wyróżnione czy uprzywilejowane. I figury świętych patronów, i przydrożne kamyczki, i taśmy filmowe gospodarza gnieźdzą się wszystkie tak samo.





OBIEKTY
ZABYTEK



Kolekcja to wynik świadomego wyboru Różyckiego, jego zainteresowań i drogi twórczej, której istotą jest świat duchowości ludowej. Sztuka wsi – skromna i naiwna – jest wielką jego miłością. Dzieła przybyły z wędrówek filmowych i fotograficznych; często pochodzą wprost od twórców, których wyszukał Andrzej, by stali się bohaterami jego filmów (powstałych i tych niezrealizowanych).

Ze wszystkich stron mieszkania patrzą święci – duzi, mali, rzezani w drewnie i lepieni z gliny. Żyją sobie rozmaite osobliwe postacie na ścianach, meblach i przy suficie, słowem – w każdym zakamarku. Na kilku półkach stanęły hufce groźnych diabłów, nad nimi unoszą się aniołów całe gromady, to znowu pod nimi wędrują kupcy żydowscy. W innym miejscu tłoczą się figury Chrystusów Frasobliwych, jeszcze dalej konie, ptaszki i gliniane dzbany.

Nie ma tu nic z ekspozycji muzealnej, nie zebrano się, by skatalogować zbiory ani nawet je spisać. Lecz gospodarz wie o nich wszystko, z każdym dziełem łączy go jakaś historia, zna każdego twórcę, okoliczności powstania rzeźb, obrazów.

Zbiory te zgromadzone ze znanstwem i wielką pasją zawładnęły nie tylko duszę gospodarzy, ale i całą domową przestrzeń życiową.



Współlistnieje się tutaj ze świętymi figurami, ptakami i zwierzętami w bajecznych kolorach, przemawia do nich i zna się ich dziwne przygody. A one nagle potrafią zmienić sobie miejsce i stanąć wśród mis na stole albo zabawiać małego Jędrusia...

Z czasem kolekcja staje się coraz cenniejsza, dzieła są pamiątką i znakiem przeszłości; wielu twórców już odeszło, ale dzięki zbiorom Andrzeja żyje pamięć i sztuka, która ciągle wzrusza. Żyją też i opowieści o tych wiejskich artystach na kilkudziesięciu filmach Różyckiego, w jego fotografiach i albumach.

Książki odgrywają w tym domu ważną rolę, a są ich tysiące. Służą powstającym tu scenariuszom, tekstom i wypełniają wolne chwile gospodarzom. Wetknięte wszędzie, gdzie się da, ułożone tematycznie, w przedziwny sposób zawsze się odnajdują i – o dziwo! – łatwo się do nich dobrać.

Trzy miejsca skupiają życie gospodarzy: duży, chłopski drewniany stół, łóże z przytulonym do niego łódeczkiem dziecka (zastąpiło ono stuletnią kołyskę przybyłą z Żywiecczyny) i biurko stare, rozsiadłe, wyciągnięte skądś tam. Nie ma tu żadnego sprzętu wprost ze sklepu, utrzymanego w modnej, zuniformizowanej estetyce. Wszystkie przedmioty są już oswojone i udomowione, przytaszczone z różnych zagadkowych zakamarków. Nie zawsze spełniają swą pierwotną funkcję, częściej wspierają, dźwigają, przyciskają, wypełniają przestrzeń. W tym otoczeniu unoszą się zapachy innych miejsc, skąd przybyły rzeczy, czuje się ich osobiste historie. Wszędzie też są rozproszone galeryjki zdjęć rodzinnych, zwłaszcza dzieci – Borysa i Jędrusia, podarki przyjaciół, znajomych artystów.

Tyle tu rodzajów przedmiotów, ile zainteresowań i pasji gospodarzy. To ich kosmos, kosmos życia i tworzenia. Z biegiem dni i lat wszystko to układa się w pionowy i poziomy, w warstwy i pokłady, w jakieś hieroglify, tajemny zapis codzienności i niezwykłości – zapis praw i dziwów kosmosu życia.

W mieszkaniu tym tkwi wielka, osobliwa siła. Wszystko, co się tu dzieje, dzieje się intensywnie: myśli krążą, rodzą się idee, narastają uczucia. Każdy, kto przekroczy próg, czuje tę aurę skoncentrowanych fluidów sztuki i życia. Goście nie wychodzą ani szybko, ani łatwo, a już szczególnie, gdy gospodarze wniosą misy pachnącego jadła i nalewki przyrządzone według własnych pomysłów. Wówczas na dobre już wrasta się w to miejsce, a potem ciągle tu wraca.



Dziecko

Litera „D” to dla *Alfabetu Romantycznego* prawdziwe wyzwanie. Duże wyzwanie. Właściwie można by pisać o wszystkim, co ożywiało wyobraźnię artystów epoki – duchach, diabłach, dziwach, o których nawet nie śniło się filozofom, dzikich krajobrazach, a także dawnych dziejach, bo to właśnie na ich kanwie powstawały najbardziej romantyczne utwory. Średniowieczne legendy, ponure historie rozgrywające się w posępnej scenerii potężnego zamczyska, zapomnianej pustelni, kryjówki okrutnych zbrojców czy krzyżackiej twierdzy.

Można by wziąć pod lupę dualizm romantycznego świata, ciągle przenikanie się rzeczywistego z irracjonalnym. Nie od rzeczy byłoby również romantycznie pojąć o duszy, ale to temat po pierwsze szeroki, po drugie – mocno już wyeksploatowany. To wszystko? Ależ skąd! Jest jeszcze dandys – romantyczny arystokrata ducha, a także dramat romantyczny, dygresyjność literatury... Prawda jest taka, że samymi tylko hasłami na literę „D” udałoby się zappełnić całą stronę, tymczasem zasada jest prosta – jedno hasło, jeden temat, jeden felieton. I tu powstaje dylemat (nieprzypadkowo na literę „D”) – wybrać coś, co od razu odсылa do epoki, czy coś, co kojarzy się z nią raczej mgliście, na przykład:

Dziecko

Najpierw pieluszki, grzechotki, smoczki i przecierane zupki, potem zabawne gaworzenie, pulchny bobas z dołeczkami w roześmianej buzi. Później uroczy chłopczyk z misiem albo dziewczynka, przemawiająca z powagą do swojej lalki. Jeszcze później setki naiwnych pytań, zaskakujących skojarzeń, pierwszych odkryć – wszystko w obecności ro-

dziców śledzących z uwagą rozwój pociechy. Milutka wizja? Milutka, ale w żaden sposób niepasująca do wyobrażeń o epoce. Dziecko w poezji, dramacie czy malarstwie? Jak najbardziej, ale niezwykle – poważne, naznaczone piętnem odmienności, którego zewnętrznym objawem bywała często jakaś fizyczna ułomność. Miniaturka dorosłego, młody starzec, malec przewyższający innych intelektem, talentem czy nadprzyrodzonymi zdolnościami.

Ośmioletni Goethe posługiwał się swobodnie (w mowie i piśmie) francuskim, łaciną, greką, o ojczystym niemieckim nawet nie wypada wspominać, do tego jeszcze, całkiem od niechcenia, nauczył się włoskiego, asystując w lekcjach siostrze. O młodym genialnym Chopinie wiedzą wszyscy, podobnie jak o małym Zygmunście Krasińskim, który dowcipem, refleksem i rezolucją zadziwiał salony. Dwunastoletni Błażej Pascal (wiem, wiem, nie ta epoka, ale problem ten sam) był autorem poważnego traktatu o dźwiękach, a jego dziecięce zainteresowania matematyką wykaczały daleko poza wiedzę przeciętnego współczesnego studenta. Naturalną reakcją zwykłego śmiertelnika jest w takich przypadkach podziw dla małego geniusza. A jednak rodzi się pytanie: czego zabrakło dziecku, które z własnej woli poświęca się tak trudnym ćwiczeniom umysłu?

Wróćmy jednak w bezpieczne ramy epoki. Czy romantyzm nie miał całkiem zwykłych, chciałoby się powiedzieć normalnych dzieci? Z pewnością tak, tyle, że pewnie nie wzbudzały one szczególnego zainteresowania twórców. Można się zastanawiać, co było im wolno, a co nie, jak były wychowywane, w co się bawiły. Czę-

ściowo odpowiada na to pytanie wspomniany wyżej Krasiński, który już jako całkiem duży Zygmunt pyta swojego bohatera – małego genialnego poetę Orcia: *Czemu, o dziecie, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką* [to akurat wiemy - bo chłopak], *much nie mordujesz, nie wbijas na pal motyli* [ot, zwykle romantyczne rozrywki młodzieży], *nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz lakoci?* Trzeba przyznać, że niektóre z tych rozrywek budzą lekki niepokój. Kordian z dramatu Słowackiego to kolejny młody starzec. Jako kilkunastoletni chłopak dysponuje gorzką wiedzą o świecie (popartą doświadczeniem), która nie dziwiłaby może, gdyby miał o kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt lat więcej.

Romantycy traktowali dzieci w sposób szczególny. Widzieli w nich, podobnie jak w postaciach z ludu czy szaleńcach, pośredników między światem fizycznym i irracjonalnym, media, które bez pośrednictwa rozumu widzą i przekazują wielkie prawdy. Zresztą nie tylko romantycy. Pod koniec XIX wieku Charles Baudelaire pisał: „Dla dziecka wszystko jest nowością: jest ono zawsze pijane. Nie bardziej nie przypomina tego, co nazywamy natchnieniem, niż radość, z jaką dziecko przyjmuje kształt i barwę. [...] Człowiek genialny [dorosły] ma mocne nerwy; dziecko słabe. U pierwszego rozum odgrywa wielką rolę; u drugiego wrażliwość wypełnia całe jestestwo. Geniusz to dzieciństwo odnalezione świadomie [...]”.

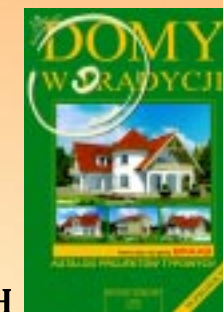
Dobrze mieć dzieciństwo ze wszystkimi zaletami i przywilejami tego okresu, warto powracać do dzieciństwa, choć nie wszyscy muszą od razu „odnajdywać je świadomie”. Zbyt wielu geniuszy naraz to tragedia.

Anna Willman



43-300 Bielsko-Biała, ul. Malczewskiego 1, tel. (033) 810 66 54; tel. (033) 816 40 69, tel./fax (033) 822 94 96

WYBRANE PROPOZYCJE Z NAJNOWSZEGO KATALOGU PROJEKTÓW TYPOWYCH



GL 30



GL 6



GLX 10



GLX 16



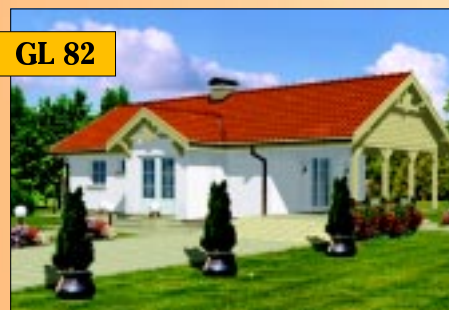
GL 67



GL 73



GL 82



GL 83



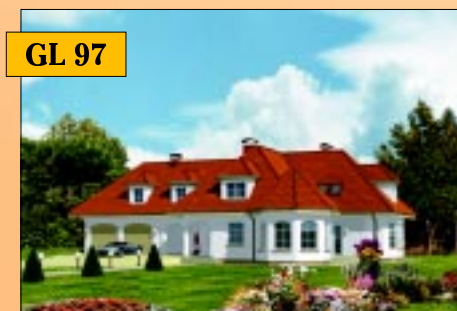
GL 92



GL 94



GL 97



GL 100



Tekst: Catherine Synave
Zdjęcia: Antoine Rozes
VOTRE MAISON

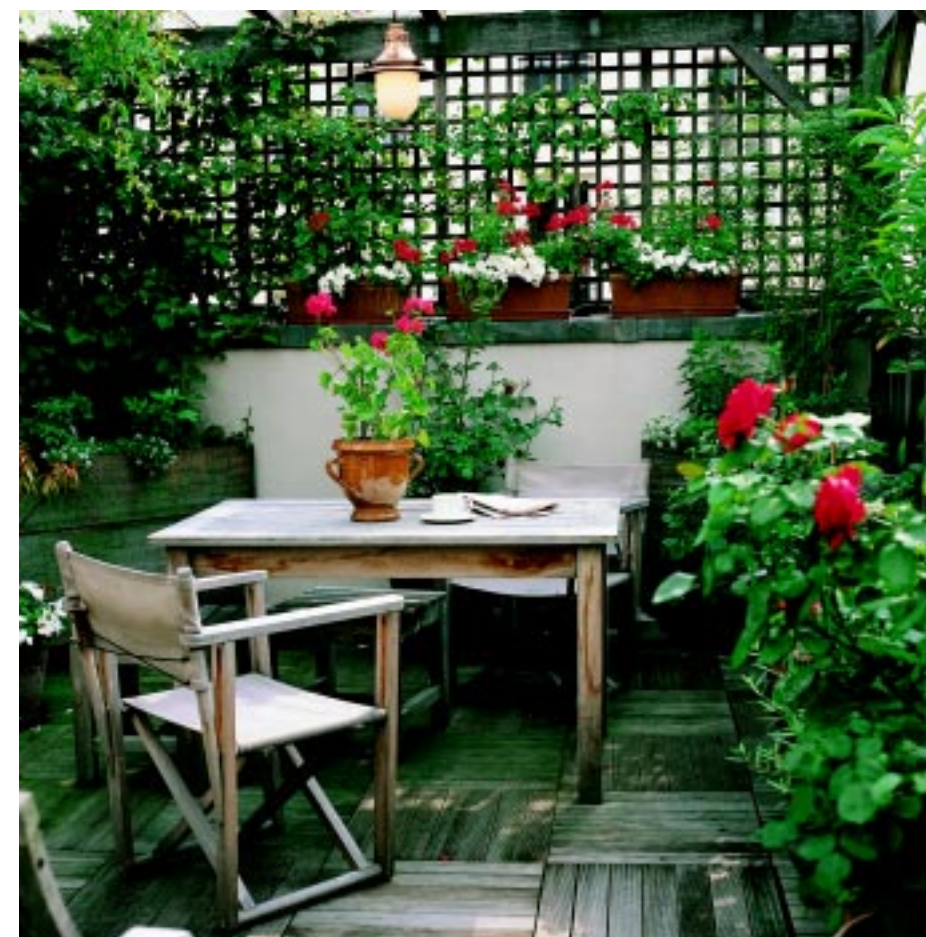
Dom pełen pomysłów

U bram Paryża

Ukrywa się w cieniu drzew, przy spokojnej ulicy, która w niczym nie przypomina pobliskiego zgiełku Paryża. Brama o gotyckim zwieńczeniu prowadzi do pięknego wnętrza ozdobionego obrazami i bibelotami.

Na zadaszonym tarasie, który przylega do pokoju rodziców, meble stoją cały czas, a rośliny zmieniają się wraz ze zmianą pór roku.

W przedpokoju przy drzwiach pies oczekuje na powrót dzieci do domu. Na ścianie zacieranej na żółto – kolekcja kapeluszy, znalezionych na targu staroci, oraz portret rosyjskiego malarza z lat 30.



Pewnego wiosennego wieczoru Weronika i jej mąż zakochali się w tej cichej, sympatycznej dzielnicy. Kiedy okazało się, że jeden z dużych domów wystawiono na sprzedaż, nie wahali się ani chwili. Ponieważ jednak pierwotny wystrój mieszkania nie bardzo im odpowiadał, nie śpieszyli się zbyt z przeprowadzką. Rozpoczęli remont: ruszyły prace murarskie, założono ogrzewanie i instalację elektryczną, przebudowano łazienki.



*W wazonie wyszperanym na pchlim targu
kwiaty ozdabiają staroświecki stół.*

Dobudowano dodatkowe kondygnacje, aby urządzić tam pokój mieszkalny i bawialnię. Na pierwszym piętrze znajdują się trzy dziecięce pokoje i łazienka; szafy wbudowano w ściany. W części górnej, gdzie mieszkają małżonkowie, jest jeszcze jedna łazienka. Na uwagę zasługuje taras, wykrojony z części dachu i poprzedzony minikuchenką, gdzie letnią porą można zjeść śniadanie, a czasami też obiad. Na trzecim piętrze powstała bawialnia. Pokój rodziców jest wystarczająco obszerny, by pomieścić kominek, kanapę, bibliotekę i wiele innych sprzętów. Salon na parterze ożywa wieczorem. Nastrojowe światło i ogień w kominku, buzujący jak tylko zrobi się zimno – przyciągają domowników. Weronika urządziła jadalnię na werandzie, wykorzystując w tym celu część wewnętrznego podwórka. Za oknami tego pomieszczenia widać rośliny w donicach i bluszcz, który pnie się po murze. Znajdująca się tuż obok kuchnia jest bardzo przestronna. W chłodne dni, podaje się w niej posiłki.

*Udrapowane i zawieszone tkaniny
pełnią funkcję dekoracyjną.*



*Znajdujące się
w salonie meble
i dywany,
a także kominek,
pochodzą
z targu staroci.
Rosyjski obraz
kupiono w anty-
kwariacie.*

*Weranda,
znajdująca się
od strony
podwórka,
posłużyła za
jadalnię.
Krzesła
pochodzą
z targu staroci.*





Ściany pokryte tkaniną, jedwabne zasłony, narzuta na łóżku z kaszmiru.

Aż do zakończenia prac adaptacyjnych Weronika nie miała jasnej koncepcji, co do ostatecznego wyglądu mieszkania. Chciała tylko, żeby ich nowe lokum było przytulne i nieco rustykalne. W tym celu obila ściany materiałem, uszyła i udrapowała podwójne zasłony, wybrała kanapy z pięknym obiciem. Tkanina ścienna narzuciła ton, a potem pojawiły się jego melanże: żółcie, czerwienie, zielenie. Kaszmiry idą w parze z żakardami, jedwabiami i taftami. Większość mebli i przedmiotów pozyskanych zostało podczas częstych wypraw na targi staroci. Wszystko razem tworzy naprawdę wyjątkowe i niepowtarzalne wnętrze.

*Komfort
i harmonia
w łazience.
Podwójne umywalki
umieszczono przed
wielkim, starym
lustrem
wmurowanym
w ścianę.*



Magia martwych przedmiotów

Zabytek spod dziurawej strzechy

Siedzę w swoim pokoju, który obstawiony jest półkami uginającymi się pod ciężarem zbieranych przez całe życie książek. Z niepokojem stwierdzam, że książki te stanowią ledwie scenografię mego otoczenia. Tylko po niektóre sięgam niekiedy, by coś sprawdzić, czegoś się dowiedzieć. A biurko? Stoją na nim przybory do pisania, nieużywane od lat rekwizyty, odrzucone przez czas. Komu dziś potrzebny atrament, obsadka ze stalówką czy suszka z bibułą? Marmurowy eksponat zdobiony brązem, kupiony w jakimś komisie. Spoglądam na sąsiedni stolik, z którego szczyrzy zęby klawiatura komputera. Jak dotąd z tym mądrym aparatem nie zawarłem przyjaźni. Nie potrafię. Komputer rodzi pytanie. A może ja sam – na swój sposób – stałem się rekwizytem muzealnym? Na biurku stoi jeszcze gliniane naczynie. Kubeczek niewiele większy od tego, w którym pijemy herbatę. Z racji wiosny żona wstawiła do niego dwie gałązki wierzbowych bazi. Z jakąś pieszczotliwą uwagą patrzę na garnuszek. Mam świadomość, że znam ledwie jedną trzydziestą jego dziejów, bo reszta jest milczeniem.

Był rok akademicki 1964/65. Podczas wakacji wraz ze studentami Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej, prowadziłem – jak zawsze – praktyki wakacyjne. Nasze archiwum wypełniało się rysunkami i fotografiami, szczególnie obiektów drewnianych, które przetrwały dwie wojny światowe, okupację, a często pamiętały aż... czasy przedrozbiorowe. O! Wtedy jeszcze nasz krajobraz obfitował w zabytki wręcz unikalne. Nasza wieś stanowiła resztki tak dostojne, że

każdy, kto miał „polskiego Boga” w sercu, patrzył na omszałe strzechy, skrzydła wiatraków, koła wodnych młynów jak na relikwie. Tych wakacji wyjechaliśmy na Podlasie. Jedna ze studenckich grup zawędrowała aż do Romanowa, „raju utraconego” Józefa Ignacego Kraszewskiego. Nasz wielki pisarz, tu właśnie pod opieką swej „białej babci”, pani Małskiej, spędził młodość. W dawnym dworze Kra-

szewskich kończono właśnie urządzenie muzeum. Za dworskim parkiem, w kierunku wsi Czaputka, stała pośród kępy drzew chałupa, a przy niej nowy już dom. Jak okazało się, starego siedliska nie zburzono jedynie dlatego, że patriarcha rodu, dziewięćdziesięcioletni dziadek przychodził tu na sobliwe wspominki i prosił dzieci i wnuków, by stara chałupa żyła tyle, ile i jemu Bóg przeznaczył. Wieko-



wego człowieka, pana Gracjana, poznałem pewnego pogodnego dnia osobiście. Właśnie wychodził ze starego domu. Usiedliśmy na przyzbie. On mówił, ja zapisywałem szanując każde słowo. Oto ta rozmowa.

”... Pan szanowny pytasz czy pozwolę stary dom pomierzyć i obrysować? To cała radość dla mnie, że znalazł się jeszcze ktoś, kto potrafi docenić czas, ale ten... który przeszedł. Chałupa, którą widzisz – mój panie – liczy co najmniej po trzykroć więcej lat niż ja. A zacząłem właśnie dziesiąty krzyżyk. Ileż odbyło się pod jej dachem chrzcin, ślubów i pogrzebów. Ile Wigilii i Wielkanocnych Niedziel tu święcono. Lubię przyjść, usiąść i patrzeć na znane kąty i przedmioty, wspominać tych, którzy niby odeszli, a właściwie to gromadzą się tu, bo wtedy są „u siebie”. Mój dziadek Jan, który nigdy w życiu nie skłamał, mawiał, że nie pamięta, kiedy chałupę budowano, a w niej się urodził...”

Tyle rozmowy zapisanej w notatniku pod datą 2 VII 1964 roku.

Chałupa w istocie była bardzo stara. Zapewne stojąc nieco na uboczu, mogła należeć do jakiegoś zespołu zabudowy, który w ogóle przestał istnieć, zresztą dostrzegłem na jednym z jej naroży ślady pożaru. Bóg jeden wie, z której wojny czy powstania? Wtedy to mogły spłonąć budynki całej zagrody. Samotny dom przetrwał. Jego stromy dach nie opierał się wyłącznie na ścianach, niosły go również słupy ustawione przy węglach i sionce, gdzie kończyła się jedyna izba. Słupy wzmocniono misternie łączonymi mieczami, które ujmowały wraz z płatwiami cały dom. Wykonano go z grubych bali łączonych tak, jak w najstarszych konstrukcjach zrębowych. Podobne, archaiczne rozwiązania zwane przysłupowymi stosowano w niektórych regionach Polski dość powszechnie. Na Podlasiu są rzadkością. Do pomiaru tej chałupy przydzieliłem grupę najzdolniejszych studentów. Sam ją odnotowałem w reprodukowanym tu pobieżnym szkicu. Wtedy dziadek Gracjan zaczął skarżyć się na duszności. Odprowadziłem go do nowego domu, oddając pod opiekę córce, a może wnuczce. Wtedy nie udało mi się wejść do wnętrza chałupy. Rysując ją, nabrałem

pewności, że pamięta czasy, gdy nie używano jeszcze ani zapalek, ani naftowej lampy, ani nawet gwoździ.

Tego samego roku, w połowie września, wraz z rodziną przyjechaliśmy do Romanowa, wcześniej zamawiając pokój gościnny w Muzeum Kraszewskiego. Była bajkowa polska jesień, malowana złotem i purpurą na tle błękitnego przestworu nieba. Bociany już odleciały, a w przydrożnych rowach jak kandelabry świeciły nabrzmiałe nasionami dzbanuszki ostu. Niektóre leśne przesmyki przypominały malarską paletę, na której artysta mieszał wyciśnięte z tub kolory: cynobry, karminy, kraplaki. Poszedłem pod pniami starych, dorodnych jesionów parku w kierunku chałupy dziadka Gracjana. Stała jak przed miesiącem. Teraz na wyłożonym podłożu, bo z otaczających zabudowę topoli spadła już część liści.

Drzwi do chałupy były otwarte. Wszedłem więc przez nie do sieni nie mającej stropu. Nieszczelne, słomiane poszycie wpuszczało tu płomienne blaski zachodzącego słońca. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem, że tak właśnie musiały wyglądać języki ognia nad głowami apostołów w Dzień Zesłania Ducha Świętego. Później, przyciskając wypolerowaną, przez lata używania listwę, wcisnąłem się do izby, popychając drzwi uformowane wraz z zawiasami wyłącznie z drewna. Chałupa, z dawna nie zamieszkana, stała się magazynem niepotrzebnych w nowym domu i nowym życiu przedmiotów. Stały tu dłubane w lipowych pniach niecki, kołowrotki, motowidła, skrzynie na mąkę i kaszę. Wisiały brytylnianego płótna. A pod ścianą, tą bez okien, gdzie pañoszył się wielki piec, zauważyłem stępgę, prawdziwe żarna i wielki stągwie, tyle że uformowane ze słomianych warkoczy. W tym gąszczu sprzętów, na tle szarej, konopnej płachty, dostrzegłem dostojną głowę dziadka Gracjana. Wokół jego mleczych włosów, wąsów i brody jarzyła się świetlista aureola słonecznej poświaty, co sprawiało, że przypominał świętego ze starej ikony. Poznał mnie. Przywitaliśmy się jak dobrzy znajomi. Odczułem nawet, że ucieszył się z niezapowiedzianego spotkania. Znów

w swoim nieodłącznym notatniku zapisałem dokładnie jego słowa: Dn. 16 IX 1964. Dziadek Gracjan. Romanów-Czaputka. We wnętrzu starego domu.

„...Nadchodzi mój czas pożegnania tego świata. Panie z miasta! Tyle ci powiem, śmierci nie boję się, ale żal mi ludzi, których pozostawię i tego wszystkiego, co mi życiu towarzyszyło od młodości po dzień dzisiejszy. Słuchaj no, tam na stole, pod krzyżem stoi garnuszek gliniany, przyjmij go ode mnie na pamiątkę. Dziadek mój powiadał, że to niezmiernie stare naczynie. On światły był i wiedział, co mówi. Wtedy w lecie, gdy mierzono dom, narysowałeś mnie. Przyjmij garnuszek, ale daj honorowe słowo, że będziesz o tę pamiątkę dbał. Nikomu jej nigdy nie oddasz. A ona Ci szczęście przyniesie. Jeśli odmówisz, włożą go do mojej trumny, bo tak przekażę. Młodzi już nie wierzą, że to kubeczek niezwykle, ze świętego kurhanu wykopany. Można na niego patrzeć, dotykać, ale używać na co dzień nie godzi się...”

Minęły lata młodości. Przyglądam się glinianemu kubeczkowi o bladym kolorze glinki, połyskującej ledwie dostrzegalną polewą. Kubek ma wydęty brzusec, wywiniętą krawędź wlewu i jedno ucho. Na ściankach lepionego bez koła garncarskiego naczynia znajdują się rytmiczne wypukłości i ryte nacięcia przypominające grecki ornament wolich oczek. Nie jestem fachowcem w dziedzinie ceramiki. Zapytałem archeologów. W sprawie glinianego garnuszka wypowiedziały się największe autorytety, specjaliści, których opinii nie sposób podważyć. Naczynie należy do kręgu kultury łużyckiej i pochodzi z VII, a może i VIII wieku przed narodzeniem Chrystusa, ale skąd znalazło się na Podlasiu? Archeolodzy bezradnie rozłożyli ręce.

Dziadku Gracjanie, jednak złamię dane Ci słowo i pozbędę się cennego daru. Przekażę kubeczek ze świętego kurhanu do Muzeum Archeologicznego.

Dziadek Gracjan zmarł w listopadzie 1964 roku. Miałem wówczas 39 lat. Czas biegnie i o czym tu więcej pisać? Wypalona glina ma przedziwną moc trwania.

Wiktor Zin

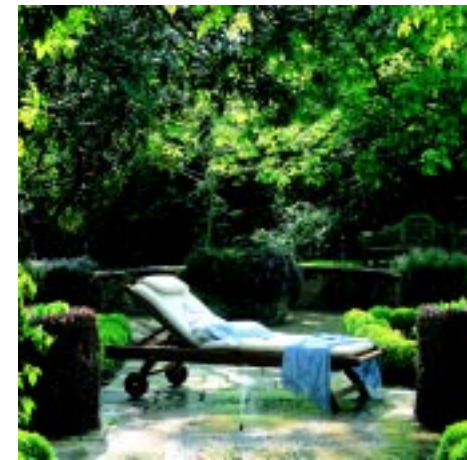


GALERIA ROMANTYCZNEGO STYLU

Komfort w ogrodzie

Czas sjesty

Tekst: Lisbeth Kwik
Zdjęcia: Antoine Rozes
VOTRE MAISON



*Chwila odprężenia
u stóp fontanny
w średniowiecznym
ogrodzie.*

W Eugénie-les-Bains Krystyna i Michał Guérard otwierają przed nami bramy swojej posiadłości, byśmy mogli przebiec po pachnących ziołami ścieżkach, zachwycić się zaciszną landyjską farmą, starymi murami klasztoru. W tej oto scenerii prezentują nam kilka pomysłów na piękną oprawę słodkiej bezczynności, miłego wypoczynku.

Cudowne chwile w ziołowym ogródku. Rabaty bukszpanu, kępy traw, rzędy bratków – to niezwykle dekoracja.



Eugénie-les-Bains, nazwane tak na cześć pięknej cesarzowej, jest prawdziwym „Petit Trianon”. Zaprasza gości do wszystkich swoich zakątków: „Łąk Eugenii”, „Zielonego Klasztoru”, „Farmy pod Drozdami” i „Czerwonego Domu”. Rustykalne wyrafinowanie i przepych łączą się tutaj w jedno. W cieniu czy w słonecznym świetle, przy fontannie czy na patio – wszędzie czuje się magię tego szczególnego miejsca, które powstało w XVIII wieku. Odnowili go Krystyna i Michał Guérardowie, a my ulegliśmy tej harmonijnej i spokojnej atmosferze. Powstało tu bowiem miejsce nadzwyczajne: farma zdrowia, której podstawowymi walorami są źródła wód leczniczych i zioła.



*Obok i powyżej:
metalowe leżaki.*

Obejmijmy spojrzeniem dawny klasztor, który stał się wytwornym hotelem i domem pustelnika zarazem. Troskę o szczegóły da się tu wyczuć na każdym kroku. Łóżka z baldachimem, dawne sprząty, zasłony z szorstkiego płótna – to główne elementy wystroju wnętrza. Dawny krużganek posłużył do wyeksponowania hamaka, który zawieszono na belkach pomalowanych na niebiesko. Ten romantyczny zakątek przyciąga tych, którzy poszukują spokoju w otoczeniu pozbawionym wszelkiej sztuczności, a przesycenym urokiem dawnych czasów. Harmonia i powrót do źródeł to słowa-klucze tego miejsca, któremu właściciele przywrócili dawne piękno widoczne wokół – wszystko po to, by ci, którzy tu przebywają, czuli się naprawdę szczęśliwi.



*Blękitne tło, miękkie pledy.
Pozwólcie się ukołysać.*

*Hamak z drewnianych
płytek i marynarskich
linek.*

HISTORIA HAMAKA

JEDNI TWIERDZĄ, ŻE SŁOWO „HAMAK” JEST POCHODZENIA KARAIBSKIEGO I ŁĄCZY SIĘ Z NAZWĄ DRZEWA, Z GAŁĄZEK KTÓREGO WYPLATANO SIATKĘ, W KTÓREJ MOŻNA BYŁO POŁOŻYĆ SIĘ I KOŁYSAĆ. DLA INNYCH JEST TO SŁOWO NIEMIECKIE LUB HISZPAŃSKIE („HAMACA”). PIERWOTNIE SŁUŻYŁ ON MARYNARZOM NA STATKACH, BY PÓŹNIEJ ZYSKAĆ POPULARNOŚĆ W KOLONIACH, GDZIE ROŚLI TRAGARZE PRZENOSILI W HAMAKACH BOGATE, BIAŁE KOBIETY.





*Pokój z werandą
ozdobioną pnącymi
różami. Pęki bukszpanu
oddzielają werandę
od ogrodu.*

*W salonie, nazwanym
„Ogrodem Czterech Pór
Roku”, można odpocząć
po każdym zabiegu.
To miejsce bardzo
przypulne, w którym
znajdują się łóżka
w stylu Ludwika XV,
zaprojektowane przez
Krystynę Guérard.
Materace z włókien
naturalnych;
na ścianie pejzaż
wiejski z XVII wieku.*



KOMFORT RELAKSU. POWRÓT PASTELOWYCH BARW.
KOLORY PRZEMAWIAJĄ DO NAS. MAJĄ WPŁYW NA NASZ HUMOR I ZACHOWANIE. OTO DLACZEGO CZUJEMY SIĘ DOBRZE W OTOCZENIU KOLORÓW STONOWANYCH. JAK OPRZEĆ SIĘ ZAPROSZENIU DO SJESTY W KOLORACH, KTÓRE SAME W SOBIE SĄ ŁAGODNOŚCIĄ I HARMONIĄ. BŁĘKIT, JASNA ZIELEŃ, MODNE ODCIENIE FIOLETU USPOKAJAJĄ NAS I WPRAWIAJĄ W DOBRY NASTRÓJ.



*Wielki park, który
rozciąga się wokół tego
magicznego miejsca,
umożliwia odpoczynek
w odosobnieniu
i spokoju. Dwa
drzewa i hamak –
pełnia szczęścia.*

Sjesta... Stanowiła istotną część życia naszych dziadków, a w nas rodzi skrupuły, choć życie jest coraz bardziej niespokojne i stresujące. Odrzućmy jednak uprzedzenia. Sjesta znów wróciła do łask. Korzystajmy z tych kradzionych chwil. Zachęcają nas do tego różnego typu relaksujące leżaki. I jeśli jest tak, jak mówił Balzak, że nie ma znużenia, którego sen nie potrafiłby zlikwidować, uznajmy sjęstę za świętość!

I definitywnie przyjmijmy, że to czas zdobyty, a nie stracony.

GL 82

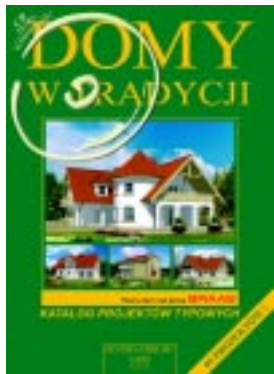
Dom jednorodzinny parterowy (niepodpiwniczony).
Powierzchnia użytkowa parteru (bez wiaty) 65,65 m².
Powierzchnia wiaty 20,25 m².



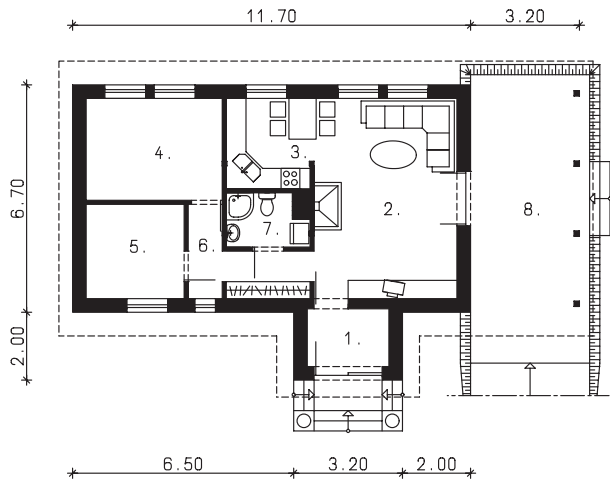
Niewielki, niewysoki, skromny i prosty – oto parterowy domek jednorodzinny oznaczony symbolem GL 82.

Skromny i prosty wcale nie znaczy nudny. Regularną, wydłużoną bryłę nakrytą symetrycznym dwuspadowym dachem urozmaica zgrabnie wysunięty ganek z przeszklonymi drzwiami, do którego prowadzą trzy stopnie oświetlone dwoma kulistymi lampami. Uroku całości dodaje spora wiatra mogąca pomieścić samochód (20,25 m²), podparta lekkimi drewnianymi słupkami, a także inne elementy z drzewa. Niezbyt duże kwadratowe okna podzielone szprosami są symetrycznie rozmieszczone, co jeszcze bardziej podkreśla szlachetny umiar, z jakim zaprojektowano dom. Mieszkanie, zajmujące powierzchnię 65,65 m², składa się z trzech pokoi, kuchni i łazienki – to wszystko na jednym poziomie parteru. Dla wielu rodzin w zupełności wystarczająca powierzchnia. Sceptyk powiedziałby pewnie, że to mieszkanie o rozmiarach typowych dla bloku na przeciętnym osiedlu. Być może, ale ten sam sceptyk nie wahałby się ani sekundy, mając możliwość zamiany standardowego blokowego lokalu, choćby i większego, na uroczy biały domek z najmniejszym bodaj skrawkiem zieleni wokół.

STUDIO ATRIUM®
43-300 Bielsko-Biała
ul. Malczewskiego 1
tel. (033) 810 66 54
tel. (033) 816 40 69
tel./fax (033) 822 94 96



RZUT PARTERU		
1	wiatrołap	4,10
2	pokój dzienny	24,95
3	kuchnia	6,65
4	pokój	12,00
5	pokój	8,00
6	hall	6,40
7	łazienka	
	z piecem c.o.	3,55
RAZEM [m²]		65,65
8	wiatra	20,25



Kartki z dawnego kalendarza

„Wiła wianki i...”

„...rzucała je na falującą wodę”. Taka jest melodia czerwca – magicznego miesiąca, który jest jeszcze trochę wiosną i już trochę latem. I jak wszystko, co było granicą czasu i przestrzeni, stawało się dla naszych przodków powodem wielu ważnych obrzędów i zwyczajów. Granica oznaczała bowiem kontakt z zaświatami. Tamtędy przybywały zamieszkujące je istoty, zarówno te przyjazne, jak i wrogie wobec człowieka. Teraz nadeszła pora czasowego, aż do jesieni, zamknięcia tego przejścia. Rozpoczął się czas pracy, czas człowieka i jego życia.

W ciemnościach nocy kołysz się na wodzie pannieńskie świętojańskie wianki, oświetlone migoczącymi płomykami świec. W tych kwiatowych kręgach zamknęła się cała nadzieja na gorącą i zakończoną ślubem miłość. To kolejny wróżebny wieczór w życiu dziewczyny. Czas je uporządkować.

Z brzegu rzeki dochodzą śmiechy i gwar młodych głosów. Płonie już sobótkowy ogień, który gdzieś, kiedyś zauroczył mistrza Jana z Czarnolasu:

*Tak to matki nam podały,
Samy także z drugich miały,
Że na dzień świętego Jana
Zawszy sobótką palana.*

Woda, ogień, wianki i zioła, z których moc szczególnie miały bylica i łopian. Były ponoć bardzo skutecznym ziołem odstrasającym czarownice. Wiadomo zaś, iż w tak magiczną noc letniego przesilenia, stały się one bardzo niebezpieczne.

Gdzieś na Mazowszu zapłonął świętojański ogień, skrzęsany przez dziewczęta dwoma kawałkami drewna. Rozpoczął się taniec panien. W ciszy, z rąk do rąk gospodyń krążyła fłaszeczka z wódką. Skwierczały wrzucane do ognia zioła: ruta, dziewanna, bylica, szalwia, piołun, krwawnik...

*Niechaj ruta w ogniu trzeszczy,
Czarownica w ogniu wrzeszczy,
Niech bylicy gałąź pęka,
Czarownica próżno stęka.
Myśmy przyszły tu z daleka,
Nie zabiorą nam już mleka.*

Już w wigilię św. Jana zawisły ochronne zioła na drzwiach domów, oknach, płotach, strzechach. Wiercono, iż to będzie mocne zabezpieczenie. Tym bardziej, że już wcześniej znalazły się tam również wianuszki poświęcone w Boże Ciało, chroniące przed gradem, piorunami i chorobą.

Wodę uważano za siedzibę istot nieprzyjaznych człowiekowi, ale też bardzo mu potrzebnych w okresie wegetacji roślin. Bez wody zamiera przecież każde życie. Ale teraz demony wodne zrobiły swoje i należało je odesłać do ich świata. Dlatego rozniecano świętojańskie ognie, dlatego czyniono magię miłosną i oddawano się nie zawsze niewinnym zalotom. Oczyszczenie ogniem i życie, seksualność człowieka to były sposoby na przegnanie demonów. I wreszcie od tego dnia można było bezpiecznie zażywać kąpiele w rzekach i jeziorach.

Dziewczęta rzucały wianki na wodę jak zaślubino-we pierścienie. Brały ją w posiadanie człowieka, by nic co, nie-ludzkie, a pochodzące z wody, nie mogło już ludziom szkodzić.

*A teraz ten wieczór sławny
Święćmy jako zwyczaj dawny,
Niecąc ognie do świtania,
Nie bez pieśni, nie bez grania!*

Renata Hryń-Kuśmierek



Księżniczki z dzieciństwa

Tekst: Elżbieta Oleksy

Zdjęcia: Piotr Lelek



*Towarzyszka zabaw
dziewczynek
z początku XIX w.*



Lalki – drewniane, szmaciane, porcelanowe, woskowe, plastikowe – od najdawniejszych czasów służyły dziewczynom do zabawy. Były najwierniejszymi przyjaciółkami, powiernicami najszybszych tajemnic małych kobietek. Niektóre z nich trafiły do muzeów, a na aukcjach osiągają niewyobrażalne ceny. Inne pozostały w pamięci wielu kobiet jako wspomnienie szczęśliwych i beztroskich lat dzieciństwa.

Światowym centrum zabawkarskim w XIX w. była Francja i właśnie stamtąd pochodzi Lalka Śpiąca (pierwsza z lewej). Pozostałe laleczki zostały wykonane w Polsce w latach 30. (druga od lewej) i w latach 50. (dwie kolejne).

Trudno w to uwierzyć, ale najstarsze lalki mają... dwadzieścia cztery tysiące lat! Pierwsze z nich nie służyły jednak dziewczynom do zabawy. Były to przedmioty magiczne, związane z wierzeniami naszych praojców. Idole (jak je nazywano) spełniały rolę sakralną i obrzędową. Były to figurki kobiet, które człowiek pierwotny rzeźbił z gliny i kości mamuta.

W Anatolii, azjatyckiej części Turcji, archeolodzy odkryli spichlerze ze zbożem sprzed ośmiu tysięcy lat, w których rolnicy umieszczali figurki kobiet rodzących dzieci. Cztery tysiące lat przed narodzinami

Babcie Barbie.
Lalkami -Cygankami
bawiły się dziewczynki
w latach 40.
minionego wieku

mi Chrystusa, w starożytnym Egipcie, lalki także były przedmiotami magicznymi. Malowane, gliniane figurki kobiet zwane *uszebti* wkładano do grobu zmarłego. W zaświatach miały wykonywać za człowieka ciężką pracę fizyczną. W grobie Tutenchamona archeolodzy znaleźli ich ponad czterysta!

To właśnie w starożytnym Egipcie pojawiły się pierwsze lalki-zabawki. Cztery tysiące lat temu małe Egipcjanki bawiły się figurkami wyciętymi z deseczek. Drewniane laleczki miały ruchome ręce i nogi, a ich włosy zrobione były z koralików. Niektóre z późniejszych o tysiąc lat lalek mają już wyrzeźbione twarze i włosy wykonane z włókien. Są ubrane w bogato zdobione stroje. Przypominają wyglądem młode Egipcjanki z tamtego okresu.

W podobny sposób bawiły się także dziewczynki w starożytnej Grecji i Rzymie. Przed ślubem zostawiały lalki z ubrankami oraz inne zabawki w świątyni. Składały je w ofierze Afrodycie, Herze i Artemidzie, prosząc te boginie o opiekę w małżeństwie. W taki symboliczny sposób żegnały się z dzieciństwem, stając się kobietami.

W grobowcu młodej Rzymianki, Crepereiry Tryphaeny, archeolodzy znaleźli lalkę. Ta około osiemnastoletnia dziewczyna umarła prawdopodobnie tuż przed ślubem. Głowa lalki została wykonana z kości słoniowej. Ma ręce i nogi, które zginają się w stawach, drobne piersi, włosy spięte grzebykami, a na rękach – bransoletki i pierścienie. Lalka Crepereiry przypomina ją samą, bowiem lalki bogatych Rzymianek i Greczynek były podobne do właścicielek.

W czasach starożytnych wśród bogaczy największym powodzeniem cieszyły się lalki z Sardes, głównego miasta Lidii. Miały misternie wyrzeźbione twarze, peruki z prawdziwych włosów i piękne ubranka. Dziewczynki z biedniejszych rodzin bawiły się skromniejszymi zabawkami zrobionymi z drewna, wosku, terakoty, szmatek i skóry. Wytwarzaniem lalek zajmowali się specjaliści rzemieślnicy, zwani *kora-ploshos*.

W średniowieczu jednym z najważniejszych miejsc, w których powstawały lalki, była Norymberga. W mieście tym działały manufaktury Otta i Messa. Właśnie stamtąd pochodzą opiewane przez po-



etów tego okresu zabawki, zwane *tocke*. Miniaturowi rycerze na koniach ubrani w srebrne zbroje ozdobione herbem rodu – to najwerniejsi towarzysze zabaw dzieci ze szlacheckich rodzin. U Otta i Messa robiono także inne zabawki: mnichów, muzykantów, mieszczki, wieśniaczki i szczurołapów.

Natomiast w średniowiecznej Francji zaczęły powstawać lalki-modelki, dzisiaj powiedzielibyśmy – manekiny. Były to figury wielkości człowieka, ubrane w stroje zaprojektowane i zrobione przez krawców

francuskich i włoskich. Kupcy wędrowali z nimi od dworu do dworu. Damy przyglądały się uważnie strojom lalek-modelek i składały na nie zamówienie. Kilka miesięcy później otrzymywały wybraną kreację. Stroje prezentowane przez lalki mogły zamawiać także inne kobiety, nie tylko damy dworu, pod warunkiem, że było je na nie stać.

Epoka renesansu i baroku to epoka lalek-dzieł sztuki. Były wykonywane z najszlachetniejszych kruszców. Ich stroje, uszyte z najlepszych materiałów, wysadzano klejnotami. Kosztowały zbyt dużo, by się nimi bawić, służyły więc głównie do ozdoby. Pełne bogactwa i przepychu były także domki dla lalek.

W XVII-wiecznej Danii, Holandii i Belgii istniał zwyczaj, który nakazywał panu młodemu podarować swojej przyszłej małżonce lalkę z całym dobytkiem (strojami i domkiem). Bogaci kawalerowie zamawiali prawdziwe dzieła sztuki, mniej zamożni – budowali domki sami, co bardzo często zajmowało im nawet kilka lat.

Później zaczęły powstawać zabawki – cuda techniki. Wynalazca mechanicznego krosna, Jacques de Vaucanson, zaprezentował w 1738 r. w Paryżu niezwykłego flecistę. Była to lalka wielkości człowieka, która grała na flecie dwanaście melodii. Poza tym poruszała palcami, mrugała oczami i... oddychała! Później Vaucanson skonstruował jeszcze parę tańczącą menueta i gracza w kości. Inny konstruktor, Austriak Fryderyk von Kraus, pokazał światu fruującego amorka oraz lalkę, która potrafiła mówić. Szwajcarzy, pastor Droz i jego syn, zadziwili wszystkich dwoma lalkami – chłopcem, który pisał werse-ty z Biblii, i młodzieńcem, który rysował ludzi oraz zwierzęta.



Lalki naszych prababci
to prawdziwe dzieła
sztuki. Kiedyś były
najwerniejszymi
przyjaciółkami
dziewczynek, dzisiaj
stały się ozdobą muzeów.

Złoty wiek lalek przypadł jednak na dziewiętnaste stulecie. Światowym centrum zabawkarskim stał się wtedy Paryż. Działo tam aż... 157 firm produkujących lalki!

Prawdziwe cuda tego okresu to laleczki o porcelanowych twarzach przyszytych do korpusów. Są pięknie uczesane, mają prawdziwe włosy i wielkie kapelusze na głowach. Ich sukienki są bajecznie piękne. Słynna lalka Daisy ma kilka kufrów z przepięknymi, ręcznie szytymi z najlepszych materiałów sukienkami, płaszczykami, futrami, bielizną i przyborami toaletowymi. Te porcelanowe piękności, z których każda ma inną twarz – zamykają oczy, poruszają głowami, rękami i nogami, a nawet... mówią! Późniejsze lalki potrafią chodzić, płaczą, śmieją się i... pływają! Wtedy bawiły się nimi dziewczynki z najbogatszych rodzin, dzisiaj stały się ozdobą muzeów. Na aukcjach osiągają niewyobrażalne ceny.

Pełne przepychu były także domki dla lalek. Ten misternie wykonany pokój z niemieckimi mebelkami pochodzi z 1901 r.



Ale i małe kobietki z biedniejszych rodzin miały swoje laleczki. W produkcji zabawek zaczęto wykorzystywać tańsze materiały – papier-mâché i porcelanę porowatą. Wykonane z nich laleczki nie są może tak piękne jak porcelanowe, ale też mają swój urok.

Niestety, początek XX wieku to koniec porcelanowych piękności. Pojawiła się nowa lalka-niemowlę, która zaważnęła serduszkami dziewczynek na całym świecie. Wymyśliła ją Amerykanka Putnam, a jej pomysł wzbogacili później inni twórcy. Niemki Marion Kaulitz i Kathe Krause wymyśliły niemowlaki, których buzie wyrażały radość, złość i ból.

Zaczęły się też pojawiać lalki - Murzynki, Chin-ki, Japonki. W Rosji stworzono Matrioszkę, która powstała na wzór lalki japońskiej. Ta ostatnia miała w swojej głowie mniejsze laleczki. Trzech rosyjskich artystów: Riepin, Szaliapin i Sierow, gdy ją oglądali,

przypomnieli sobie rosyjską legendę o jajku, w którym mieściły się mniejsze jajeczka. Tak właśnie powstała Matrioszka. Pierwsza składała się z ośmiu części; dzisiaj można doliczyć się w niej aż trzydziestu sześciu mniejszych laleczek.

Po drugiej wojnie światowej nastała era małych lalek z winylu, które wymyślił Francuz Claude Refabert.

W 1959 r. powstała najpopularniejsza lalka naszych czasów, Barbie. Jej „matką” była Ruth Handler, która razem z mężem założyła firmę Mattel. Barbie, mimo swoich 42 lat, jest wiecznie młoda, piękna i radosna. Została stworzona na podobieństwo najpiękniejszych kobiet świata. Najpierw przypominała aktorkę Ritę Hayworth, potem Marilyn Monroe i Brigitte Bardot. Teraz ma w sobie coś z modelek: Cindy Crawford,

Karen Mulder i Kate Moss. Pierwsze Barbie nie miały wyłącznie blond włosów. Pojawiały się także brunetki, ale... przegrały z blondynkami.

W 1961 r. Barbie dostała narzeczonego – Kena. Jak na kobietę luksusową przystało, posiada także samochody i domy. Stroje dla niej projektują dziś najwięksi kreatorzy mody: Dior, Karl Lagerfeld, Donna Karan i inni. Barbie w takich kreacjach należy do grupy lal NRFB (Never Remover From Box – nigdy nie wyjmowanych z pudełka) i przeznaczona jest dla kolekcjonerów. Ich seria jest limitowana. Taka Barbie to już nie zabawka, ale znakomita lokata kapitału.

Zmieniały się epoki, a wraz z nimi zmieniały się także zabawki. Drewniane, szmaciane, porcelanowe, woskowe, plastikowe lalki od najdawniejszych czasów były towarzyszkami zabaw dziewczynek. W czym tkwi ich tajemnica? Są dla małych kobietek przedmiotami magicznymi. Dzięki nim panienki czują się księżniczkami.

Nie wszystko jest na sprzedaż

ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ KOŻUCHOWSKĄ

Jest perfekcjonistką. Na studiach aktorskich w warszawskiej PWST miała pierwsze lokaty. Po przedstawieniu dyplomowym od razu dostała angaż w jednym z najlepszych teatrów w kraju, w Teatrze Dramatycznym. Jest także laureatką Nagrody Feliksa Łaskiego za sezon teatralny 1998/99, przyznawanej aktorowi, który w ciągu 5 lat od ukończenia studiów osiągnął najwięcej. „Aktorstwo to ciężki, ale piękny zawód” – mówi Małgorzata Kożuchowska, aktorka Teatru Dramatycznego w Warszawie, znana z roli Ewy Szańkiej w filmach Kiler i Kilerów 2-óch Juliusza Machulskiego, a obecnie Hanka w serialu telewizyjnym M jak miłość.



Fot. M.Gmitruk/Forum



Fot. M.Gmitruk/Forum

ROMANTYCZNY STYL:

Sprawowała Pani urząd ministra gospodarki, była nawet prezydentem. W jakich okolicznościach pełniła Pani te funkcje?

MAŁGORZATA KOŻUCHOWSKA:

To było bardzo dawno temu, w latach 80. Chodziłam wtedy do szkoły podstawowej w Toruniu, gdzie mieszkałam. Jak na owe czasy była to bardzo nowoczesna szkoła, do której uczęszczało około 2 tys. dzieci. Mielśmy wspaniałego dyrektora, pana Józefa Wesołowskiego, który stworzył tzw. Rzeczpospolitą Dziecięcą. Był to niezależny, demokratyczny rząd dzieci, który miał wpływ na wiele istotnych spraw w szkole. Na przykład braliśmy udział w radach pedagogicznych, mieliśmy możliwość rozstrzygania spraw uczniowskich we własnym gronie. Rząd składał się z prezydenta, premiera i ministrów. Władzę wybierali uczniowie w demokratycznych wyborach. Ministrem gospodarki zostałam w szóstej klasie, a prezydentem byłam w siódmej i ósmej klasie.

Jakie obowiązki należały do Pani?

Często na przykład organizowaliśmy wycieczki. Przed takim wyjazdem za miasto chodziłam do dyrektora, który pytał: „Co chcielibyście jeść na pikniku: grochówkę czy kaszanek?” Jako minister gospodarki podejmowałam decyzję i odpowiadałam: „Grochówkę”. Musiałam też wiedzieć, skąd i za ile ją kupić.

Natomiast funkcja prezydenta była przede wszystkim reprezentacyjna. Moja podstawówka była szkołą popisową, którą pokazywało się gościom z Zachodu. Jako głowa szkoły oprowadzałam delegacje po salach i pokazywałam, jak są wyposażone. Opowiadałam o szkole. Byłam też odpowiedzialna za kontakty uczniów z nauczycielami.

Po pewnym czasie, już jako dorosła kobieta, zaczęłam doceniać to, co robiłam w Rzeczpospolitej Dziecięcej. Możliwość sprawowania tych funkcji dała mi łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi. Stawiano przede mną poważne zadania, z których musiałam się wywiązać. Poza tym, załatwiałam sprawy z nauczy-

cielami, a więc ludźmi dorosłymi, którym przedstawiałam postulaty uczniów. Musiałam być odważna i umiejętnie wypowiadać się w danej sprawie. Dla dziecka są to sytuacje stresujące. Wykształciłam w sobie umiejętność odnajdywania się w takich sytuacjach.

Była Pani energiczną nastolatką. Lubiała Pani, kiedy dużo się działo wokół?

To prawda. Należałam do różnych kółek zainteresowań i organizacji. Chodziłam do kółka biologicznego, plastycznego, chóru, studia poetyckiego, oazy oraz kółka języka polskiego i rosyjskiego. Byłam też przewodniczącą klasy i szkoły, od podstawówki aż do liceum. Robiłam wszystko, co można było robić. Na szczęście rodzice niczego mi nie zabraniali. Nie martwili się, że nie poradzę sobie z nauką, bo po szkole przychodzę do domu, rzucam torbę i pędzę na trzy kółka, które mam jeszcze tego dnia. To były niezwykle doświadczenia.

Na przykład obóz pionierski na Białorusi?

To było w połowie lat 80. Chodziłam na kółko języka rosyjskiego i pojechaliśmy na miesiąc na obóz pionierski na Białoruś. Byliśmy na tym obozie z dziećmi radzieckimi. Codziennie rano mieliśmy apel, który rozpoczynał się okrzykiem ich opiekunki: „Sowietom Lenina Wierny!!!” Wszyscy pionierzy odpowiadali z pasją: „Wsiегда Wierny!!!” Byliśmy zszokowani. Uczono nas piosenek o Leninie, a największym wyróżnieniem było otrzymanie czerwonej chustki i znaczka. Była to gwiazda z Leninem, którą dzieci radzieckie nosiły przypiętą do koszuli. W ramach sabotażu odmawiałam z nimi przy otwartych drzwiach głośno pacierze. Później pisałam do tych dzieci listy i chciałam je zaprosić do Polski, żeby zobaczyć, jak my żyjemy. Ale było to trudne.

Kiedyś, z kółka języka rosyjskiego, pojechaliśmy też pociągiem przyjaźni. Była to trasa z Brześcia przez Mińsk do Moskwy i z powrotem. Podróż trwała 10 dni. W Moskwie oczywiście odwiedziliśmy Mauzoleum Lenina. Gdy do moich rodziców przyjeżdżali w odwiedziny znajomi, byłam główną atrakcją wieczoru i opo-

wiadałam o tej podróży. Pamiętam dyskusje na temat, czy mumia Lenina jest pod szkłem czy nie. Rozstrzygałam spór i mówiłam, że nie jest. Moja rodzina działała w „Solidarności”. Dom był nafaszerowany ulotkami, a ja opowiadałam o Leninie.

W podstawówce i liceum miała Pani świadectwa z czerwonym paskiem, na studiach pierwsze lokaty. Kiedyś powiedziała Pani: „Wszystko chcę robić jak najlepiej”. Jest Pani perfekcjonistką?

Jeżeli już coś robię, to rzeczywiście chciałabym, aby było to zrobione jak najlepiej, perfekcyjnie. Taką mam cechę charakteru. Są jednak dziedziny, w których jestem słaba, bo nie da się, niestety, wszystkiego robić świetnie. Często czuję, że mogłabym być w czymś dobra, tylko muszę poświęcić temu więcej czasu.

Na przykład, zawsze uważałam, że słabo mówię po angielsku. To był mój kompleks. Dwa lata temu miałam trochę wolnego czasu i namówiłam moją siostrę na wyjazd na obóz językowy w Anglii. Niestety, nie było tam kieratu, więc wiele się nie nauczyłam. Ale to zmobilizowało mnie i po powrocie zapisałam się na prywatne lekcje angielskiego. Chodziłam na nie cały rok. Na początku sezonu teatralnego, w październiku zeszłego roku, dostałam wiadomość o możliwości wyjechania do teatru w Dublinie. Dyrektor mojego teatru wysłał tam moje CV. Po pewnym czasie zadzwonili Irlandczycy i zaproponowali mi pracę. Pomyślałam sobie wtedy, że nie w życiu nie dzieje się przypadkowo. Dobrze, że chodziłam przez rok na lekcje angielskiego. Nabrałam swobody w wypowiadaniu się w tym języku.

Spędziłam w Dublinie półtora miesiąca. Oczywiście graliśmy w języku angielskim. Było to dwugodzinne przedstawienie, w którym występowały trzy osoby – dwóch Irlandczyków i ja.

Ale dała sobie Pani radę. Tak. Musieliśmy stworzyć poetykę tego przedstawienia, język.

Próby odbywały się codziennie od godziny 10 do 19, z krótką przerwą na lunch. Łomnicki powiedział kiedyś, że jeżeli aktor nie powie na próbie danej kwestii sto razy, to nie powinien mieć odwagi wyjść na scenę i wypowiedzieć jej na premierze spektaklu. Rozpisałam swoje monolog na dużych plachtach papieru i odhaczałam na nich każde wypowiedziane zdanie. Aż doszłam do stu.

W szkole uczyła się Pani bardzo dobrze i mogła dostać się bez problemów na różne kierunki studiów. Poza tym Pani rodzice są pedagogami i pewnie chcieli, żeby ich córka wykonywała konkretny zawód, np. była nauczycielką czy lekarką. Jak zareagowali na wiadomość, że chce Pani zostać aktorką?

Mój tata bardzo się ucieszył. Jest wielbicielem teatru. Widział bardzo dużo przedstawień, których ja nie mogłam zobaczyć, bo byłam za mała. Szanował i nadal szanuje zawód aktora. Natomiast moja mama bała się. Powtarzała często, że powinnam przemyśleć swoją decyzję,

bo to nie jest łatwy kawałek chleba. Mówiła, że będzie mi trudno założyć rodzinę. Powtarzała: „Wszyscy w sobotę i niedzielę odpoczywają po tygodniu pracy, siadają razem do kolacji, rozmawiają ze sobą, a Ty w tym momencie idziesz do pracy. Piątek, świętek czy niedziela – idziesz do pracy. Cały czas jesteś obserwowana, oceniana. Cały czas przeżywasz stres”. Ale chyba najbardziej niepokoiło ją, że mogę wpaść w złe towarzystwo i zmienić się jako człowiek.

Czy słowa Pani mamy sprawdziły się?

Zawód aktora jest ciężkim, ale pięknym zawodem. Nie zamieniłabym go na żaden inny. Jak w każdym zawodzie są chwile piękne, w których widzisz sens tego, co robisz i czujesz się potrzebny, dowartościowany. Ale są też chwile trudne, kiedy wydaje Ci się, że jesteś bezradny, nikt Cię nie chce i już nigdy nie zagraż nic ciekawego. Myślę, że każdy ma takie chwile. Raz mu jest dobrze, a raz jest w dołku. Aktorstwo to piękny zawód, ale jednocześnie ciężki i trudny.

Jak Pani sobie radzi ze stresem?

Mój stres mobilizuje mnie, a nie obezwładnia. To taka dobra trema. Chodzę i mówię: „Nienawidzę się bać”. Jestem podenerwowana, ale jednocześnie zmobilizowana do działania.

Zwykle bywa tak, że aktorzy grają w teatrze, żeby spełnić się zawodowo, a w serialach telewizyjnych, aby zarobić pieniądze. Pani też dzieli czas pomiędzy spektakle grane na deskach Teatru Dramatycznego i plan serialu telewizyjnego *M jak miłość*?

To prawda, że w teatrze nikt nie gra dla pieniędzy. Nie przyjmuję jednak wszystkich proponowanych mi ról. Jestem ostrożna. Przed przyjęciem roli zastanawiam się wnikliwie i rozpatruję tę propozycję na wszystkie możliwe sposoby. Nie zawsze oczywiście mogę się zastanawiać długo. Do tej pory zagrałam w kilku serialach, ale małe role w dwóch, trzech, góra – pięciu odcinkach.



Fot. PAT

Nie chciałam, aby ludzie kojarzyli mnie z daną postacią.

Zgodziła się Pani jednak zagrać Hankę w serialu telewizyjnym *M jak miłość*.

Zgodziłam się ze względu na reżysera tego serialu, Ryszarda Zatorskiego, który mi tę rolę zaproponował. Poznaliśmy się przy realizacji *Kilera*. Ryszard Zatorski był tam drugim reżyserem. Rozumieliśmy się świetnie i miałam do niego duże zaufanie. Wiedziałam, że jeżeli proponuje mi jakąś rolę, to jest ona warta zagrania. I taka jest rola Hanki. Takiej postaci nie grałam do tej pory. Zawsze dawano mi rolę „sympatycznych dziewczynek”. A ta postać jest kontrowersyjna. Hanka jest niedobra, mściwa, wredna i sprytna. Ta rola była dla mnie wyzwaniem. Chciałam postać Hanki obronić, ponieważ ona jest taka z jakiegoś powodu – została skrzywdzona przez życie. Gdyby ją ktoś otoczył ramieniem, to okazałoby się, że jest fajną dziewczyną. Nie wiem, co będzie się działo z tą postacią w dalszych odcinkach serialu. Mam nadzieję, że Hanka trafi w końcu na kogoś, kto wydobędzie z niej pozytywne uczucia.

Rola Ewy Szańskiej w *Kilerze* przyniosła Pani popularność. Czy ona też była dla Pani wyzwaniem?
Ta rola była dla mnie o tyle wyzwaniem, że znalazłam się nagle w gronie aktorów popularnych, idoli i musiałam znaleźć wśród nich swoje miejsce. To była główna rola żeńska, ale to nie była rola-fajerwerk. Taką rolę miał Czarek Pazura jako Kiler, Janusz Rewiński jako Siara i Kasia Figura jako Rysia. Ja musiałam dobrze „wystawiać piłki”, ale jednocześnie nie chciałam zniknąć wśród gwiazd. Udało się!

Czuje się Pani dobrą aktorką?
Mam nadzieję, że jestem dobrą aktorką. Kiedyś powiedziałam sobie, że jeżeli nie sprawdzę się w tym zawodzie, jeżeli nie będę miała dowodów na to, że to co robię – robię dobrze, to zrezygnuję z aktorstwa. Ten zawód jest na tyle okrutny, że w momencie kiedy człowiek nie dostaje potwierdzenia, że jest akceptowany i potrzebny, to staje się sfrustrowanym, zgorzkniałym i niespełnionym człowie-

kiem. A w przypadku kobiet jest to dopiero nieznosne.

Cezary Pazura powiedział kiedyś: „Małgorzata Kożuchowska jest jak wino – im starsza, tym piękniejsza”. Uplywający czas jest jednak dla aktorek w Polsce tragedią. Aktorki w dojrzałym wieku nie są chętnie angażowane przez reżyserów. Nie boi się Pani, że w pew-

Mój stres mobilizuje mnie, a nie obezwładnia.

To taka dobra trema. Chodzę i mówię:

„Nienawidzę się bać”.

nym momencie telefon przestanie dzwonić?

Staram się być mądra. Nie wszystko zależy od reżyserów. Dużo zależy od nas samych, aktorów. Jeżeli mamy czas, chęci i coś do powiedzenia, to jesteśmy w stanie zainteresować swoimi propozycjami reżyserów albo samemu wyprodukować przedstawienie. Bardzo liczę też na to, że nareszcie zmieni się nasze kino. Mam nadzieję, że znajdą się młodzi, pełni energii ludzie, którzy zaczną robić niezależne filmy. Widać to teraz na świecie. Ludzie nie chcą już oglądać wielkich superprodukcji, ale filmy ambitne, które mówią o nas samych. To są filmy niskobudżetowe, ale mówią o sprawach istotnych, ważnych dla nas, a my sami chcemy się identyfikować z bohaterami tych filmów. Może nie zdążę się jeszcze zesterzyć i uda mi się zagrać w takich filmach.

Kiedy debiutowała Pani na scenie?
Na drugim roku studiów w PWST zagrałam w Teatrze Telewizji w spektaklu *Balada teatralna* w reżyserii Wiesława Komasy. Był moim opiekunem roku. Zagrałam w tym spektaklu z panią Hanną Skarżanką i Ryszardą Hanin. To było dla mnie niesamowite doświadczenie. To były gwiazdy teatru przedwojennego. Dzisiaj już mało jest takich aktorów.

A po spektaklu dyplomowym dyrektor Teatru Dramatycznego w Warszawie, Piotr Cieślak, zaproponował Pani etat u siebie...

Przyszedł do mnie do garderoby po przedstawieniu dyplomowym i powie-

dział: „Masz tutaj moją wizytówkę. Przyjdź do mnie na rozmowę, bo chcę z Tobą porozmawiać na temat angażu”. Wyszedł, ale za pięć minut wrócił i powiedział: „W sumie nie przychodź, bo mam Ci do zaproponowania rolę w *Człowieku z La Manchy* w reżyserii Jerzego Gruzy. Przyjdź na próbę”. I tak dostałam pracę w Teatrze Dramatycznym.

Ma Pani szczęście?

W naszym zawodzie wymienia się trzy elementy, które podobno składają się na sukces. Są to praca, talent i szczęście. Pewnie jest w tym trochę prawdy. Myślę, że mam szczęście do ludzi. Trzeba spotkać we właściwym miejscu i we właściwym czasie osobę, z którą jesteś w stanie bardzo dobrze się porozumieć. Chcecie razem pracować, lubicie się, macie sobie coś do zaproponowania i jeszcze wzajemnie inspirujecie się. Myślę, że to jest szczęście w tym zawodzie. Można oczywiście je wywołać samemu, np. dręczyć reżysera telefonami czy aranżować spotkania z nim. Ale ja tego nie potrafię. Nie umiem walczyć agresywnie o rolę.

Mam to szczęście, że ludzie chcą ze mną rozmawiać. Tak było np. z Juliuszem Machulskim. Po raz pierwszy spotkaliśmy się na Festiwalu Szkół Teatralnych w Łodzi. Machulski widział mnie tam w przedstawieniu i spodobała mu się moja gra. Chciał jednak zobaczyć, jakim jestem człowiekiem. Zaczepił mnie na korytarzu, zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że mamy takie samo poczucie humoru. Po raz drugi spotkaliśmy się w Wytwórni Filmów na korytarzu. Pogadaliśmy chwilę. A potem zadzwonił i powiedział: „Mam dla Ciebie rolę w Teatrze Telewizji. Chcę żebyś wystąpiła w moim przedstawieniu”. Tak też się stało. Później był casting do *Kilera* w jego reżyserii, który wygrałam.

U jakiego reżysera chciałaby Pani zagrać w filmie?

U Pedro Almodovara.

A jaka rola byłaby spełnieniem Pani marzeń?

Chciałabym zagrać Gruszeńkę w *Braciach Karamazow* Dostojewskiego. Chciałabym też spotkać się w pracy z reżyserem Leszkiem Wosiewiczem, bo żałuję, że zagrałam

**Małgorzata
Kożuchowska
z Juliuszem Machulskim
i Cezarym Pazurą.**



Fot. PAP

tylko w pierwszym odcinku jego serialu telewizyjnego *Przeprowadzki*. I bardzo chciałabym zagrać znowu w filmie fabularnym, np. według scenariusza Krzysztofa Piesiewicza i w reżyserii Michała Rosy.

Rzadko opowiada Pani publicznie o swoim życiu prywatnym. Nie lubi Pani rozgłosu i szumu wokół swojej osoby?

Nie lubię. Moje życie osobiste, to nie jest tylko moje życie intymne. To jest także życie uczuciowe tej drugiej osoby. A ona nie życzy sobie, żeby o tym opowiadać. Jest pewna granica, której nie można przekroczyć. Nie wszystko jest na sprzedaż. Mój świat intymny należy tylko do mnie i moich najbliższych. Tak jak nie chcę, żeby wszyscy oglądali moją sypialnię i łazienkę, tak samo nie chcę, żeby wiedzieli, w jaki sposób dbam o swojego męża, czyżnę i jak spędzamy wolne chwile. Każdy człowiek ma swoją sferę intymności, którą powinien zachować tylko dla siebie.

A czy nadal marzy Pani o domu z ogródkiem pod Warszawą?

To było zawsze moim marzeniem. Ale ponieważ muszę wstawać o wpół do szóstej rano, żeby zdążyć na plan filmowy, to mieszkając pod Warszawą, musiałabym wstawać o czwartej rano. Ta perspektywa

wczesnego wstawania zniechęca mnie. Poza tym bardzo często próby w teatrze albo zdjęcia na planie filmowym kończą się późno w nocy. Jestem bardzo zmęczona, rozkojarzona i boję się jechać samochodem. Posiadanie mieszkania w centrum miasta jest bardzo wygodne. Wsiadam do taksówki i za chwilę jestem w domu.

Czy w najbliższym czasie, powiedzmy pięciu lat, chciałaby Pani założyć rodzinę?

Na pewno.

Czy Pani przyszły dom będzie podobny do rodzinnego?

Tak. Miałam szczęśliwe dzieciństwo i wychowałam się w szczęśliwej rodzinie. Dowodem na to jest, że bardzo często jeżdżę do mojego rodzinnego Torunia. Kiedy muszę podjąć trudną decyzję, radzę się moich rodziców. Cenię sobie ich zdanie, ponieważ wiem, że są to osoby, które życzą mi jak najlepiej. Potrafią mi mądrze doradzić.

Jest Pani przywiązana do Torunia, ponieważ jest to Pani rodzinne miasto. Czy jeszcze do jakiegoś miejsca czuje Pani sentyment?

Jest taka miejscowość, która nazywa się Pogorzela. To małe miasteczko – ma dwa rynki, a wokół niego pola i lasy. Mieszkała

tam moja babcia, do której zawsze jeździłam na wakacje jako dziecko. Babcia już nie żyje, ale teraz mieszka tam moja matka chrzestna. Każdy kąt kojarzy mi się z dzieciństwem i z samymi dobrymi wspomnieniami. Poza tym najlepiej tam wypoczywam. Chodzę do lasu na grzyby, maliny i jagody. Oddycham świeżym powietrzem i jem swojskie, naturalne jedzenie. Uwielbiam tam jeździć.

Lubi Pani podróżować?
Uwielbiam. Wybieram takie miejsca, w których jest mało ludzi. Nie są to miejsca typowo turystyczne. Wolę harmonię związaną z obcowaniem z przyrodą i spokojem niż „superwygody” w świecących żyrandolami hotelach.

Na koniec proszę wymienić swoje trzy wady i trzy zalety. Jaka Pani jest?

Trudno jest mówić o sobie. Zalety? Jestem konsekwentna, wrażliwa i mam poczucie humoru. A wady? Jestem niecierpliwa, wybuchowa i niestety zbyt często narzekam, np.: „Znowu jutro muszę wstać wcześniej rano!”

Dziękuję Pani za rozmowę.

Z Małgorzatą Kożuchowską rozmawiała Elżbieta Oleksy.

Tekst: Bożena Gałuszewska
Zdjęcia: Marta Lelek i Anna Godlewska

Afrodyta i róże

Kuchnia ze smakiem miłości cz.I

„Oto wyloniła się z piany najwznioślejsza, najpowszechniejsza bogini.

Wonne zioła wyrastają u delikatnych stóp tej, która wysliznęła się z piany” – tymi oto słowami sam wielki Homer przypieczętował sięgający zarania dziejów związek roślin i miłości. Roślin jadalnych. Można by chyba mówić, że radę o trafianiu przez żołądek do serca po raz pierwszy zastosowała rajska Ewa. Oczywiście Adama otwarły się na jej doczesne wdzięki i powab cielesny dopiero, gdy wziął z jej rąk jabłko. Zjadł i okazało się, że choć zakazane, to jednak najśodsze. Wygnanie z raju jest historią serca i żołądka. Pokarm ożywia zmysły, które dostrzegają ciało, łącząc tym samym na zawsze cielesność i zmysło-

zbyt wyrafinowane, odebrał więc żebro, ulepił Ewę. A na pamiątkę tej historii pozostawił tęskne marzenie – wspomnienie o cudownej, subtelnej miłości. Kwiat ów stał się symbolem miłości upragnionej, niedosiętej. Zaś Kobietę Różę przeznaczył innym swym boskim zamysłem.

Grecy mieli swą miłosną Afrodytę. Jakże często owa bogini z ziołami u stóp pozostawiała w uścisku z Dionizosem, bogiem winnego grona! Każdy, kto połączył tę parę i robił ze związku owego użytek, mógł mieć pewność, że plany miłosne się powiodą. Wiedziała o tym Kleopatra, i oto przygotowując się na przyjęcie swych cesarów, kazała układać kunsztowne mozaikowe wizerunki Afrodyty i Dionizosa. Jest wielu, którzy jej podboje sercowe skłonni są przypisywać tajemniczym recepturom, miksturom, wyrafinowanym potrawom i napojom. Wistocie, wielka królowa posiadała pielęgnowane przez wieki sekrety erotyczno-kulinarne Wschodu. Nie bez powodu więc jej wrogowie uznali, że posiadłszy siły czarnoksiężskie, zgotowała magiczny napój, który miał pomieszać zmysły Antoniuszowi do tego stopnia, że szlachetny ów mąż publicznie całował jej nagą stopę. A Kleopatra знаła po prostu tajniki czynienia arcydzieła ze wszystkiego, co ją otaczało, również z kuchni i miłości. Plutarch powiada, że przybyła do Antoniusza na barce w złote gwiazdy, pod purpurowymi żaglami, srebrne wiosła poruszały się w takt muzyki harf i fletów, spod rozsypanych na wodzie płatków róż nie widać fal, za to zapach niesie się hen, daleko... Czarodziejski przepych uczył miłosnej zadziwiał i onieśmielał, odbierał wolę. Mężczyzna, choćby najsilniejszy, najdzielniejszy wódz stawał bezradny wobec czarodziejki. Jej moc wzmagaly najsztelniejsze potrawy i napoje, zmysły rozpalal namietny zapach: posadzkę na wysokość stopy zasypaly róże, u powaly zwisaly cale ich girlandy. W takiej odurzajacej, pachnacej atmosferze odbywały się też uczyty rzymskie, które również zwykle wiodły do alkowy, były wstępem do łoża. Czasem niestety prowadziły do zguby, pod ulubionymi przez Nerona kaskadami róż ginęli biesiadnicy, przygniatani upojnym ciężarem.

wość. A róża? Pewna ludowa opowieść głosi, że Pan Bóg, chcąc wyzwolić Adama z jego samotności, rozejrzał się po Edenie w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego na towarzyszkę człowieka. Wzrok Jego spoczął na róży. Uznał Stwórca, że ów najpiękniejszy, ulubiony przezeń kwiat nada się w sam raz na uczynienie z niej kobiety. Jak pomyślał, tak zrobił. Spojrzał Adam i oniemiał: jemu marzyło się ciało z krwi i kości, a tu – sama delikatność. Pojął Pan Bóg, że to szczęście

Mistrz Boticelli obsypał swą nowo narodzoną Wenus wiatrem-zapachem, w którym wirują róże. Zapachem miłości, który zazwyczaj znaczy tak wiele, czasem więcej niż słowa. Ma to do siebie, że przywraca pamięć o przeszłości ze wszystkimi jej pachnieniami i zaklętymi w nich uniesieniami, niemożliwymi do powtórzenia słowami. Posiadłszy władzę nad smakami i zapachami, ma się we władaniu miłość i na odwrót. Czasem z miłości rodzą się najlepsze przepisy, zaś rozkosz erotyczna bliska jest rozkoszy kulinarnej – obu równie trudno się oprzeć. Zresztą, od czasów najdawniejszych całe pokolenia kucharek miłości przekazywały sobie tajniki wykorzystania zapachu róż i ziół wyrastających spod stóp Afrodyty, by zapewnić wierność i żar kochanków. Oto potrawa miłosna Chaucera, przygotowana specjalnie dla Ryszarda II przez Lornę Sass:

*4 łyżki rozdrobnionych suszonych płatków róż,
375 ml mleczka migdałowego (luskanych migdałów rozmoczonych w mleku i miodzie),
pół łyżeczki cynamonu,
pół łyżeczki imbiru,
2 łyżeczki mąki ryżowej (lub kukurydzianej),
100 g świeżych daktyli,
3 łyżki ziaren sosny (niekoniecznie),
świeże płatki róż.*

Na 10 min zanurzyć suche płatki różane w mleku migdałowym, potem dodać do nich imbir i cynamon. Przez 5 min gotować na wolnym ogniu. Mąkę wymieszać z dwiema łyżkami zimnej wody, dodać daktyle i ziarna sosny. Bardzo starannie wymieszać i przelać do dwu czarek, przybranych świeżymi płatkami.

Kurczak w różanych płatkach:

*kurczak,
12 czerwonych róż,
6 kasztanów,
2 łyżeczki masła,
2 łyżeczki mąki kukurydzianej,
2 krople esencji różanej (ewentualnie soku),
2 łyżeczki anyżku,
2 łyżeczki miodu,
1-2 główki czosnku.*

Oprószyć kurczaka solą i pieprzem do smaku, usmażyć na maśle. Potem dusić do miękkości. W międzyczasie bardzo ostrożnie oskubać płatki świeżych róż i utrzyć z anyżkiem. Osobno opiec kasztany, obrać z łupin i ugotować, zrobić z nich *puree*. Ząbki czosnku pokroić drobnutko i usmażyć na maśle na złoty kolor, gdy się zeszkłą, dodać *puree*, miód, płatki róż i odrobinę soli. Na koniec skropić z umiarem esencją różaną. Doprawiony sos zdjąć z ognia i na 10 min włożyć doń kurczaka, by przeszedł aromatem. Następnie wyjąć, podzielić, porcje ułożyć na talerzach, polać sosem i udekorować płatkami.



Na zakończenie przytaczam radę meksykańskiej powieściopisarki, Laury Esquivel, inspirującą zarówno co do miłości, jak i kuchni. Radzi ona, by, zjadać wszystko do końca : „to, że na dnie garnka zawsze zostanie jakiś apetyczny kąsek, zazwyczaj wynika z faktu, że ludzie nie chcą okazać łakomstwa, i mimo wielkiej ochoty, nie mają odwagi go zjeść. I tak pozostaje wzgardzony (...) pełen wszelkich możliwych do wyobrażenia smaków. W jego wnętrzu kryją się wszelkie tajemnice miłości, których nikt nie będzie mógł zgłębić dlatego tylko, że należy zachować dobre maniery”. Rada owa dotyczy oczywiście i łoża i stołu, a pamiętajcie, że i do łoża, i do stołu jeden tylko raz się woła.

GL 97

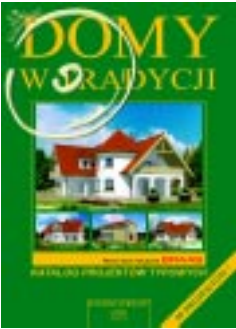
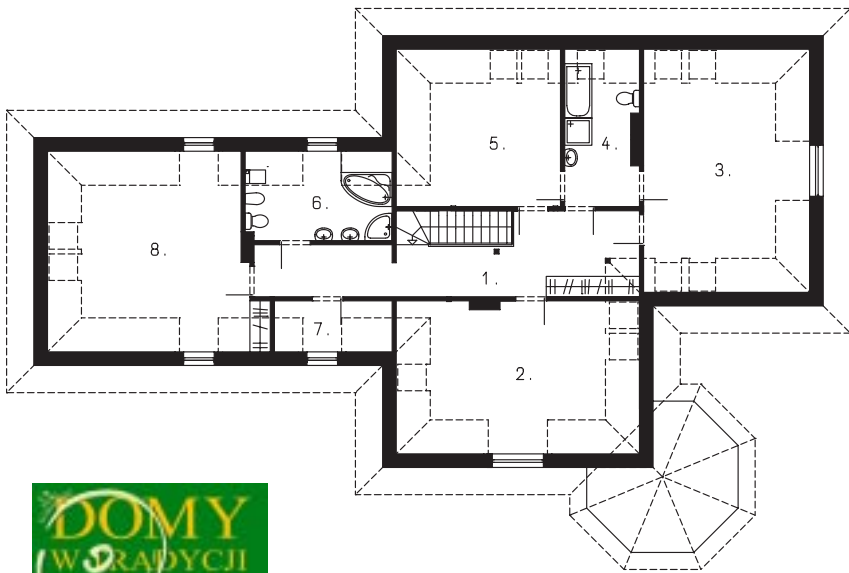
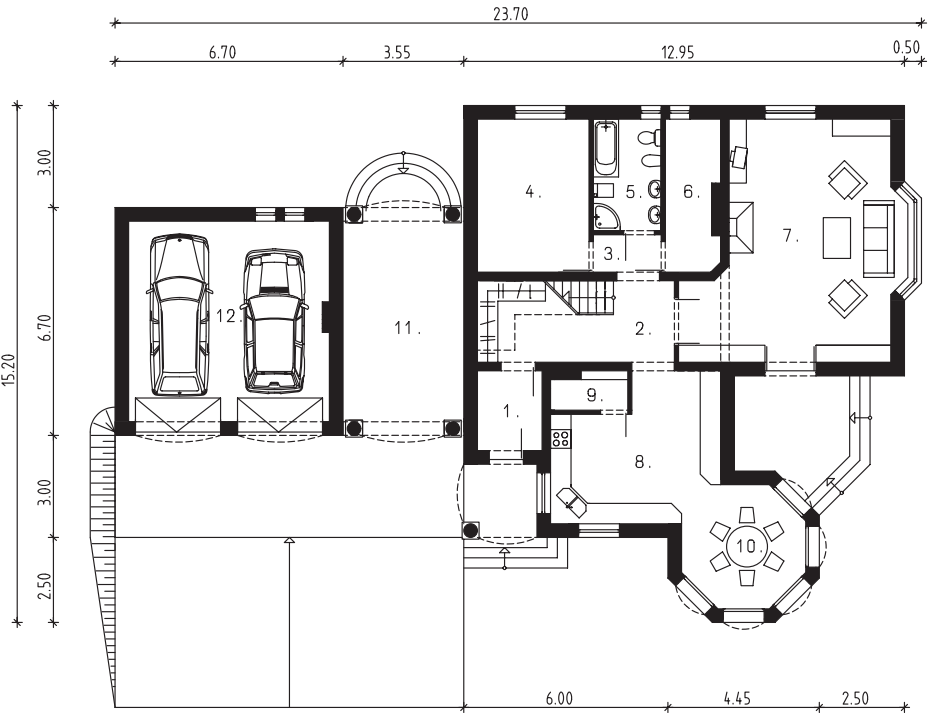
Dom jednorodzinny parterowy z poddaszem użytkowym (niepodpiwniczony). Powierzchnia użytkowa parteru i poddasza (bez garażu i wiaty) 243,65 m². Powierzchnia garażu 34,60 m². Powierzchnia wiaty 23,30 m².

RZUT PARTERU

1	przedsionek	4,50
2	hall	
	ze schodami	13,40
3	komunikacja	2,35
4	pokój	14,75
5	łazienka	6,55
6	kotłownia	6,90
7	pokój dzienny	39,00
8	kuchnia	18,95
9	spiżarnia	2,40
10	jadalnia	10,95
RAZEM [m ²]		119,75
11	wiata	23,30
12	garaż	34,60

RZUT PODDASZA

1	hall	
	z komunikacją	21,95
2	pokój	21,30
3	pokój	23,20
4	łazienka	7,80
5	pokój	15,30
6	łazienka	8,45
7	garderoba	3,10
8	pokój	22,80
RAZEM [m ²]		123,90



STUDIO ATRIUM®
43-300 Bielsko-Biała
ul. Malczewskiego 1
tel. (033) 810 66 54
tel. (033) 816 40 69
tel./fax (033) 822 94 96



Dla odmiany coś o wiele większego, okazałego i urozmaiconego pod względem architektonicznym. Fantazja, wdzięk i styl to chyba najbardziej odpowiednie określenia dla domu GL 97. To propozycja dla dużej, zmotoryzowanej rodziny (podwójny garaż i wiaty). To dom, obok którego trudno przejść obojętnie. Uwagę przykuwa niezwykle interesująca bryła; jej najatrakcyjniejszym elementem jest niska wieżyczka zbudowana na planie wielokąta, nakryta stożkowym dachem. W jej wnętrzu zaprojektowano jadalnię – łatwo wyobrazić sobie przyjemną atmosferę przy rodzinnych posiłkach w tak pięknym i jasnym pomieszczeniu. Zanim jednak przeniesiemy się do środka, spójrzmy jeszcze raz na budynek z zewnątrz. O jego atrakcyjności stanowi okazały dach, z którego „wyrastają” urocze lukarny. Eleganckie przeszkłone drzwi i estetyczne okna (szczególną uwagę warto

zwrócić na kwitowe okno w ryzalicy na bocznej elewacji) dobrano w taki sposób, że całość sprawia wrażenie lekkości. Jeszcze jednym elementem, spełniającym zarówno funkcje estetyczne, jak i praktyczne, jest wiaty przy garażach, zajmująca powierzchnię 23,30 m² (stanowiąc ona może idealne miejsce na parkowanie trzeciego samochodu). Wracamy do wnętrza. Poza wspomnianą już jadalnię, parter o powierzchni użytkowej 119,75 m², zajmuje przedsionek, hall ze schodami, dwa pokoje (w tym jeden dzienny i jeden zwany „gabinetem”), obszerna kuchnia, spiżarnia, łazienka i kotłownia (kotłownia na tym poziomie, bo dom nie jest podpiwniczony). Pomieszczenia na poddaszu – 4 pokoje, wygodny hall, garderoba i dwie łazienki zajmują 123,90 m². Wygląda na to, że żaden z mieszkańców tego domu nie powinien narzekać na brak przestrzeni życiowej i własnego kąta.

O wiedzy tajemnej

Powiadają ludzie mądrzy, w dziejach starożytnych obeznani, jakoby Bóg potopem świat ukarał dla oczyszczenia go od gusłów i wygubienia niezmiernie rozmnożonych czarowników. Ocalony dzięki swej prawości Noe, pośród synów miał i Chama, co tajemną wiedzę spamiętał i swemu znów synowi ją przekazał. Ten, zwany Zoroaster, w księgi wszystką wiedzę był spisał, przez co na oczach swych uczniów porwany przez diabła, na wieki zniknął. Józef zaś Żydowin (Flawiusz) przekazuje, iż to Bóg sam nauczył króla mądrego, Salomona, sztuki czarowania, o której on księgę napisał, a że żon miał siedemdziesiąt i siedem, każdą innej wiary, to i wiedział o wszechrzeczach więcej niżli inni śmiertelnicy. W księdze onej o wszystkich zakłęciach, sposobach czarowania, wróżeniu i cudów czynieniu stoi napisane, lecz księgi tej próżno szukać, nikt wszak nie wie, gdzie ona. Jakie okrucy tej wiedzy po świecie się rozeszły, ale samym tylko wybranym w najtajniejszych okolicznościach poznać je przychodzi.

Panuje tedy mniemanie, a głupie, między ludem, że ku sztuce owej przystąpić może. Bujność wymysłów w tej materii jest wielka, choć świątobliwi mężowie dowodzą próżności nauk tajemnych i sztuki magicznej. Przestrzegali ci mężowie, iż „ktokolwiek nie mocą boską ani Jego prawdą, alibo przez wzywanie diabłów i złych duchów chce wiedzieć i opowiadać przyszłe rzeczy, czynić sprawy dziwne, zaklinać, zamawiać choroby, jednać miłość – taki popełnia bałwochwalstwo i uganiając się za marnościami niknącymi będzie z innymi czarnoksiężnikami skazany na ogień prawdziwy i wieczny”. Mimo owej przestrogi wróżono powszechnie przez ziemię, przez ogień, przez przypatrowanie się na paznokcie, przez sny i znaki, i wszystkie inne sposoby od czarta wynalezione. Boć

są ludzie tego mniemania głupiego, że im się nad drugimi i nad siłami rozmaitymi mocą jaką zawładnąć uda. Baby osobliwie w tym wiarę pokładają, ale i Żydzi, „cierpiąc na głębokość rozumu, poświęcają się nigromancji”. Ci byli mistrzami, nierzadko na posługach u możnych panów, jednak i bez nich obyć się można. Lud wszystkich stanów i wszelkich urzędów w zabobonie miał ufność, nie wyjąwszy królów. Wielki Jagiełło przesądny był bezmiernie: „A niżli na dwór wyszedł, trzykroć się uwinął w koło na jednej nodze, by go zły raz minął”. Miał on też zwyczaj łamania żdźbła na troje i rzucania go pod nogi, nie tłumacząc co czyni; zgolone z brody włosy kładł między palce i wodą czemuś polewał, wiosną do gaju wychodził, niby to słuchać słowików, ale tam raczej bóstwom gajowym w drzewach siedzącym się kłaniał. Czarami trudniła się i królowa Bona, także na dworze Batorego magię uprawiano.

Najosobliwiej jednak lud wsiowy był zabobonny. Nie znał ów miary w czarowaniu, odczynianiu, przeklinaniu, uroczeniu. W każdej rzeczy, przypadłości i uczynku łatwo szukał jakich dziwnych sił i przyczyn, a podobnie i sposobów na turbację. Więc remedia na choroby najrozmaitsze miały kształty, weźmy boleczkę: taka, tam, gdzie się pokazać miała, czyniła szkodę, ciało rozpalala, czerwieniła. Koniecznie na to chwycić kilka żab potrzeba, tylko zimnych, i przyłożyć żywe na bolejące miejsce, potem obwiązać to szmatami. Trzymać tak długo, aż gadzina zdechnie z bólu, co na nią z człowieka przeszedł.

A znów szynkarze i Żydzi-arendarze, chcąc przyciągnąć kogo do picia wódki, dają mu taki trunek, co go przez gardło gęsi albo kaczki raniej przepuścili. Wtedy ten, który wypił, szuka odtąd karczmy jak gęś wody.

O perturbacjach duszy także wiedziało wiele, tedy jak się kogo chora jaka

miłość czepiła, czem prędzej rady czarodziejskiej szukano. I tak, żeby męża albo kochanka zubożniałego na nowo do siebie przyciągnąć, winna niewiasta zespe-rowana wierzchołek od głowy cukru zawinięty w szmatę nosić pod pachą, i chodzić z tym dużo, i zapocić się, dopóki cały cukier potem się nie nasyci. Wtedy tak spotniałym cukrem osłodzić lubemu napój, a nawróci się na miłość niechybnie. Albo, kto chce, by go jaka dziewczyna kochała, musi postarać się o haczyk i widelki z drzewa, na którym śpiewa słowik. Najostrożniej wtenczas powinien postępować, by go ptaszek nie zobaczył, bo się na nic wszystko przyda. Ten haczyk ma taką władzę, że nim zaczepiona dziewczyna najzapamiętałej się zakocha; widelki zaś dla odmiany służą odpychaniu tej, której miłość rozum zaćmiła i z własnej woli odpuścić afektu nie chce. Gdy ją tymi widelkami odepchać, rozmłowana zaraz na oczy przejrzy, namiętności zaniecha i nieszczęсна lubość zaraz minie.

Jako się rzekło, wielu jest takich, co w sile nieczystej szuka oparcia dla swych zamiarów i wiadomości jakie stąd czerpie. Każdy jednak wiedzieć musi, że gdy kto wiedzę magiczną chce zgłębiać, na wielkie niebezpieczeństwo jest wystawiony, sam bowiem diabeł ukręca łeb czytającemu księgi czarodziejskie albo siebie wzywającemu, jak mu nie nie dają za to. Tedy zadowolić go potrzeba, ofiarując kawał trzewika starego albo włos, albo żdźbło, a i wtedy skutków obcowania z czarnoksięstwem pewnym być nie można. A i dla siebie, przez te niecne uczynki, wiecznego cierpienia piekielnego trzeba się spodziewać.

1. A.Bruckner Litwa

2. O. Kolberg Dziela,

3. J. Tuwim Czary i czarty

4. Prace i Mat. Etnograf. T. IV, cz. III r. 1925 Kraków.



Gra światła ożywia przestrzeń między różowymi ścianami, a starą kamienną podłogą.

Lekcja malowania

Pokoje i ich barwy

STARA FARMA W CHAMBOURCY ZAMieniŁA SIĘ W UROCZE DOMOSTWO, GDZIE PRZECIERANE ŚCIANY MIENIĄ SIĘ ULUBIONYMI KOLORAMI WŁAŚCICIELKI. DEKORATORKA WNĘTRZ, KATARZYNA BOUTEMY, SAMA WYMYŚLIŁA CAŁĄ KOLORYSTYKĘ, PEŁNĄ ŚWIATŁA I NASTROJU.



Obszerna klatka schodowa. Schody na pierwszym piętrze prowadzą do salonu. Ściany zatarte w kolorze jasnoróżowym, w głębi widoczny odcień łagodnej zieleni. Na lewo – wyjście do kuchni i do jadalni.

Różowo zacierane ściany i przedmioty „art nouveau”. Obszerny, nasłoneczniony salon wychodzi na taras i wiszący ogród. Wnętrze umeblowane w stylu „art nouveau”, ze śladami chińskich pasji Katarzyny.

*Na ścianie imitacja kamieni,
ale drewno jest stare i prawdziwe.*

*Schody z kamienia i drewna. Po drugiej
stronie korytarza znajdują się schody, które
prowadzą do pokoju pani domu. „Kamienie”
na ścianie wymalowano farbami akrylowymi
i pokryto zaprawą murarską.*

*Kuchnia w starym stylu. Płytki podłogowe z odzysku,
stary kredens i naczynia. W kuchni koloru ochry
Katarzyna wypieka ciasteczka dla swoich wnuków.*



Kiedy dwa lata temu Katarzyna Boutemy trafiła na zrujnowaną budowlę, zakochała się w niej od pierwszego wejrzenia. Ze starej farmy położonej w okolicach Paryża w ciągu dziesięciu miesięcy stworzyła pełne uroku gniazdo. Do domu wchodzi się od strony podwórka, przez hol ozdobiony starymi drewnianymi schodami. Uwagę zwracają obrazy kwiatów, namalowane przez mamę i babcię Katarzyny. Na tym poziomie znajduje się też biuro właścicielki, w którym zawsze panuje artystyczny nieład: porozrzucane wszędzie próbki tapet, skrawki materiałów obiciowych, szkicowniki...

Pomieszczenia mieszkalne zajmują dwa piętra. Pierwsze piętro wychodzi na wiszący ogród, taras i basen. Urządzono tu także stylową kuchnię, a ponadto są jeszcze: jadalnia, duży salon, dwa gościnne pokoje i łazienka utrzymana w tonacji seledynowej. Tam, gdzie parkiety były uszkodzone lub ich w ogóle nie było, Katarzyna ułożyła spatynowane płytki ceramiczne. Jej dziełem są także kontury kamieni, które widać na ścianach w korytarzu.

Jeśli chodzi o kolor ścian w salonie, dekoratorka wypróbowała różne odcienie czerwieni, by w końcu osiągnąć oczekiwany ton. Jej zawodowe doświadczenie nauczyło ją jednego: każdej osobie przypisany jest jeden lub kilka określonych kolorów, których nie można zmieniać, by nie popaść w konflikt z jej głębokim „ja”. Bez wahania wybrała odcienie, w których czuje się dobrze: wyblakłą czerwień, zieleni i żółć. Czerwony i żółty w salonie, zielony w łazience dla gości i żółty w jej własnym mansardowym pokoju pod dachem, gdzie namalowała również stylizowane motywy na napiętej tkaninie.



MIESZANKA RETRO I KOMFORTU



Niegdyśiejszy urok. Nastrojowa łazienka na pierwszym piętrze z sufitem pomalowanym przez Katarzynę. Srebrne kubki i starodawne flakony.

Pokój gościnny. Tapety i materiały obciowe utrzymane w odcieniach beżu. Szuflady bambusowej komody zostały pokryte tkaniną, pozostającą w harmonii z resztą pokoju.

Santa Marija

Stapając po skorupkach

Tekst i zdjęcia: Marta Lelek



Kraj: Chorwacja

Kraina: Dalmacja

Miasto: Vodice

Ulica: P. Kamila 9

Osiół, koza, kogut i papuga

kierują do wejścia. Kuszą

dochodzące ze środka,

wzbudzające apetyt zapachy.

Jeszcze tylko krok,

a stracisz poczucie miejsca

i czasu. Chorwacka wieś,

meksykańska hacjenda czy

pokład XVI-wiecznego

żaglowca? To tylko

restauracja, ale jedna

z najbardziej pomysłowych,

jakie spotkać można nad

Adriatykiem.

Masz ochotę spędzić urlop w Chorwacji. Oczami wyobraźni widzisz kryształicznie czystą morską wodę, błękitne niebo, z którego niemiłosiernie praży słońce, apartament w niedużym pensjonacie blisko centrum miłego miasteczka oraz śladowe ilości męczącego, włączącego wszędzie piasku. Zamiast niego – niemal wyłącznie czyste i ukształtowane na tysiąc sposobów skały.

Zabierasz rodzinę, dobrą mapę i oto szczęśliwie docieracie do przełęczy Kapele, skąd rozciąga się za-

pierający dech w piersiach widok błękitnego Adriatyku, usianego milionem wysp i wysepek. Nieliczne zatoki, półwyspy i gnieźdzące się na nich stare, urocze miasteczka prowokują, by zapuścić się dalej na południe. Zjeżdżasz w dół ku jedynej, ciągnącej się wzdłuż wybrzeża, drodze E65 i po dwóch godzinach masz już dość wszystkiego. Wleczesz się w kolumnie samochodów, których nie jesteś w stanie wyprzedzić. Stojąc w korku, spozierasz na mapę i szukasz miejsca, w którym mógłbyś jak najszybciej odejść. I właśnie dla takich jak ty jest Vodic!

Mieszczkański kredens na honorowym miejscu, sombrero na suficie. Siermiężne blaty stołów, a na nich orzeszki. Skórki po orzeszkach... na podłodze.



„Tron” dla
szczególnego gościa.
Imponująca „koza”
na chłodne
wieczory, a nad nią
niby suszące się
wiejskie gacie.



Obrazy, obrazki, zdjęcia i inne bibeloty pokrywają nierówne, białe ściany. Są też eksponaty „ruchome”, do których należy np. oswojony kogut. Właśnie przegląda się w zabytkowych lustrze.



Przy wejściu do restauracji Šime dogląda swych „podopiecznych”.

Vodice położone jest nad samym morzem, w odległości kilkunastu kilometrów od pięknego, zabytkowego miasta Šibenik, w którym można zrobić większe zakupy. Niecała godzina drogi samochodem dzieli Cię od wspaniałego parku narodowego, obejmującego fragment rzeki Krka, obfitujący w naturalne kaskady, wodospady i jeziora. Najniżej położone aż prosi się, aby zażyć w nim kąpeli słodkiej i ciepłej w przeciwieństwie do tej, którą proponuje morze. Inny park narodowy – malowniczy archipelag skalistych wysp Kornati – zwiedzisz, korzystając z oferty wycieczki morskiej, na pokładzie statku, odpływającego z portu w Vodice.

Powyższe słowa mają zachęcić Cię do tego, abyś dotarł na ulicę P. Kamila pod numer 9. Mieści się tam bowiem restauracja „Santa Marija” – jedna z najsympatyczniejszych, jakie spotkać można nad Adriatykiem. Do środka zapraszają: osioł, koza i kogut, siedzący na wiejskiej drabinie, a także hałaśliwa papuga okazałych rozmiarów. Zaraz za progiem coś zaczyna chrząścić pod stopami. To skorupki po orzeszkach, które serwuje się tu za darmo i w nieograniczonych ilościach. Na każdym stole, blacie czy parapecie stoją misy i miseczki wypełnione orzechami. Skorupki zrzuca się na podłogę. Jest ich tam tak dużo, że tworzą prawie zwarty kobierzec. Stąpając po nim, czuje się pod stopami miłą miękkość. Trudno odmówić temu pomysłowi uroku.

„Santa Marija” to kilka pomieszczeń i tarasów, znajdujących się na różnych poziomach starej kamieniczki, zaadaptowanej do potrzeb lokalu gastronomicznego. Wnętrza otrzymały wystrój mieszany, chciałoby się powiedzieć: „wiejsko-miejsko-staroświecki”, bo określenie to chyba najlepiej oddaje całą gmatwaninę „wątków”, jakie przewijają się w po-

szczególnych izbach i salach jadalnych. Blaty ze starych, grubych desek, osadzone na żeliwnych nogach maszyn do szycia, pełnią rolę stołów. Ale są też stoły „normalne”, każdy wzięty z innego miejsca i z innej epoki. Ponadto: antyczne kredensy, fotele i lustra oraz wspaniałe, stare piece typu „koza”; nierówne, białe ściany i sznury suszących się ludowych gaci i pantalonów. A przy tym mnóstwo staroci: obrazków, zdjęć i bibelotów ze wszystkich stron świata. Jeśli tylko tu trafisz, wszystko to, wraz z oszałamiającym zapachem egzotycznych, smakowitych potraw – przeniesie Cię w tajemniczą podróż w czasie i przestrzeni.

Właściciel i twórca tego sympatycznego miejsca, Šime Pelajić-Brunac, to jedna z najbardziej znanych i poważanych postaci dalmatyńskiego wybrzeża. Sam mówi o sobie, że jest „apostolem chorwackiej turystyki”. Brzmi to może pretensjonalnie, ale Šime kandyduje właśnie na urząd burmistrza miasta Vodice i określenie to stanowi jeden z elementów jego kampanii wyborczej. Zresztą jeśli przyrzeć się, co Šime zrobił już dla rozwoju turystyki w Chorwacji, to okaże się, że przydomek ten nie jest wcale przesadzony. „Više cvijeća – manje smeća” („Więcej kwiatów, mniej śmieci”) – pod takim hasłem przebiegała niedawno jedna z akcji, jaką wymyślił i wprowadził w życie. Pomysł był prosty, chodziło o likwidowanie dzikich wysypisk śmieci, czyszczenie wybrzeża i poszerzanie obszarów zielonych. Akcja ta, początkowo tylko lokalna, szybko zyskała popularność w całym kraju i przyniosła wymierne efekty.

Jako właściciel dwóch lokali gastronomicznych, Šime zebrał jak do tej pory przeróżne nagrody i wyróżnienia. Dwukrotnie był laureatem konkursu na najlepszą restaurację na wybrzeżu, ogłoszonym przez dziennik „Večerni List” i chorwackie Ministerstwo Turystyki.

„Santa Marija”, zwana przez samego Šime „chorwacko-meksykańską konfuzją”, odzwierciedla jego rozległe zainteresowania i pasje. Jedną z nich jest miłość do tego, co „wiejskie” – stąd właśnie rezydujące w restauracji zwierzęta, siermiężne sprzęty, siano czy rozrzucone na podłodze skorupki. Modele żaglowców dalekomorskich, meksykańskie sombre-ra i inne egzotyczne przedmioty – zdradzają z kolei tęsknotę za dalekimi podróżami. Jeśli jednak Šime wygra wybory, możesz być pewny, że nigdzie stąd nie wyjedzie! Podwoje „Santa Mariji” nadal będą stały otworem dla gości, choć jej właściciel zamiast przy drewnianym stole zasiądzie zapewne w fotelu za wielkim biurkiem w miejskim ratuszu, by zrobić jeszcze więcej dla dobrego wizerunku swego miasta, jak i całego adriatyckiego wybrzeża Chorwacji. Tym bardziej warto, byś zajrzał do Vodice!

Dobry duch jazzu

ROZMOWA Z JANEM PTASZYNEM WRÓBLEWSKIM



Fot. M. Loranc

Uczęszczał do średniej szkoły muzycznej, której nie ukończył. Później studiował na Wydziale Mechanizacji Rolnictwa Politechniki Poznańskiej i w Akademii Muzycznej w Krakowie, którą rzucił po roku nauki. Mimo to, został jednym z królów polskiego jazzu. Jest postacią barwną, człowiekiem z charyzmą, pasją i poczuciem humoru.

„Najważniejsze w jazzie są emocje i optymizm” – mówi Jan Ptaszyn Wróblewski, saksofonista, kompozytor wielu standardów jazzowych, twórca muzyki symfonicznej i rozrywkowej oraz autor kultowej audycji „Trzy kwadranse jazzu”, nadawanej od wielu lat w Programie Trzecim Polskiego Radia.

ROMANTYCZNY STYL:

Co Pan czuje, gdy mówią o Panu: „Legenda polskiego jazzu”?

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI:

Czy ja wiem? Trudno jest mi poczuć się w roli legendy.

A gdy słyszy Pan o sobie: „Dobry duch życia jazzowego w Polsce”?

Dla wielu ludzi rzeczywiście nim jestem, ale dla niektórych jestem bardzo złym duchem. Pamiętam bowiem i takie wypowiedzi, w których określano mnie mianem „szkodnika muzycznego”, ponieważ niszcze młodzież i nie pozwalałam jej grać w moich zespołach.

Stawiano zarzuty, że nie gra Pan z młodymi ludźmi, ponieważ boi się Pan ich talentu, tego, że mogliby okazać się lepsi.

To śmieszne, bo zarzucano mi to akurat w czasach, w których najwięcej młodych muzyków przewinęło się przez moje zespoły jazzowe. Byli dobrzy i warto było z nimi grać. To było dla mnie zawsze jedyne kryterium.

Dlaczego krytycy formułowali takie zarzuty wobec Pana?

Jak się chce psa uderzyć, to i kij zawsze się znajdzie. Były takie momenty, kiedy usiłowano przypisać do jazzu nieomal wszystko, cokolwiek tylko wiązało się z muzyką. Występowałem przeciwko temu. Zresztą nie w charakterze napastliwym. Uważam, że jeżeli ktoś gra inny rodzaj muzyki i robi to dobrze, to wszystko jest w porządku. Nie wszyscy muszą grać jazz, ale też nie wszystko od razu musi być jazzem.

Liczy się Pan z opiniami krytyków muzycznych czy nie?

W żadnym wypadku. Wielokrotnie już próbowali wpędzić mnie na manowce i nigdy ich słowa nie sprawdzały się. O krytykach mam bardzo złe zdanie. Co prawda znam kilku kompetentnych dziennikarzy, do których mam zaufanie, ale zdecydowana większość po prostu nie wie, na jaki temat zabiera głos. Łapię się za głowę, gdy czytam, co oni wypisują. Nie chodzi mi o to, czy mają rację, czy nie mają. W ich tekstach widać zasadnicze, merytoryczne błędy, zmiany faktów, pomyłki. Wynika to z tego, że u nas krytykiem może zostać każdy. Na szczęście muzykiem nie może zostać każdy, bo trzeba się najpierw nauczyć wydobywać jakieś dźwięki z instrumentu.

Co w jazzie jest pasjonującego, fascynującego?

To jest jedno z najtrudniejszych pytań, jakie w ogóle istnieją. Czasami bardzo trudno to ludziom wytłumaczyć. Jazz sam mnie wciągnął. Słuchałem wielu rozmaitych rzeczy, ale po pewnym czasie przekonałem się, że tym, co mi najbardziej odpowiada, jest właśnie jazz.

Mnie zafascynował przede wszystkim rytm. Dzięki niemu jazz jest naładowany emocjami. No i oczywiście fakt, że jest to muzyka, która opiera się na improwizacji.

Muzyk jazzowy ma inną rolę do spełnienia – nie odtwarza nut napisanych przez kogoś innego, tylko gra od siebie. Do tego dla mnie zawsze był ważny w jazzie ten szczególny rodzaj optymizmu, powiem nawet – poczucia humoru, który towarzyszył wielu wspaniałym poczynaniom muzycznym. Od czasu do czasu jazz przybierał formy skrajne, bardzo eksperymentalne, a muzycy byli wydumani, poważni. Nie można było ich tknąć palcem, bo była to obraza świętości czy diabli

wiedzą co. Wydaje mi się, że tego rodzaju atmosfera jazzowi nie sprzyja.

Czy na początku Pańskiej kariery byli jacyś mistrzowie, których Pan podziwiał i starał się na nich wzorować?

Trudno jest mi wymieniać nazwiska muzyków, bo było ich ogromnie dużo. Ważne w moim życiu były wręcz poszczególne płyty i nagrania. Tym niemniej myślę, że w pewnym okresie życia dość decydujący wpływ wywarł na mnie Sonny Rollins. Do dzisiaj go szanuję i lubię. Ale wymieniać tylko jedno nazwisko, to nie byłaby cała prawda.

Dlaczego po maturze rozpoczął Pan studia na Wydziale Mechanizacji Rolnictwa Politechniki w Poznaniu, a nie w Akademii Muzycznej?

Uczęszczałem jednocześnie do liceum ogólnokształcącego i do średniej szkoły muzycznej w Kaliszu, gdzie mieszkałem. Uczyłem się w klasie klarnetu i fortepianu. Nie ukończyłem jednak tej szkoły. Do stałem się na studia w Politechnice Poznańskiej, ale bardzo szybko doszedłem do wniosku, że pewnych spraw nie da się ze sobą połączyć. Przeniosłem się więc do Akademii Muzycznej w Krakowie. Przyjęli mnie, mimo, że nie miałem dyplomu średniej szkoły muzycznej. Studiowałem tam tylko rok, bo zacząłem grać zawodowo. Nie mogłem pogodzić dyscypliny studiów z pracą. Aczkolwiek muszę podkreślić, że

moje zainteresowania jazzowe nigdy nie były przedmiotem jakichkolwiek szykan ze strony moich profesorów w Akademii Muzycznej. Wspominam ich ogromnie miło. Po prostu nie starczyło mi czasu na naukę.

Kiedy po raz pierwszy wziął Pan do ręki saksofon?

Był to saksofon tenorowy, który wypożyczyłem ze świetlicy studenckiej Politechniki Poznańskiej. W tamtych czasach wszystkie uczelnie w Polsce prowadziły działalność kulturalną, miały teatr albo zespół muzyczny. Dlatego były na uczelni instrumenty do wypożyczenia. Tworzyliśmy z kolegami zespół, więc za pokwitowaniem wypożyczyłem saksofon. Był w okropnym stanie, ale udało mi się na nim zagrać.

W dodatku wzbogacił się Pan o klarnet...

Jakiś roztargniony muzyk włożył go do saksofonu. Wypożyczyłem tylko saksofon, więc klarnet zostawiłem sobie „w spadku”.

I zaczął Pan grać na klarencie?

Tak. Później okazało się, że saksofon jest mi jednak bardziej potrzebny. Krzysio Komeda, u którego grałem w zespole jazzowym, namówił mnie na saksofon barytonowy. Kupiliśmy go zespołowo za trzy tysiące złotych, a ja spłacałem go przez pół roku. Rozleciał się później ze starości.

Akurat wtedy wpadł mi w ręce kolejny saksofon, tym razem tenorowy. Był to pierwszy naprawdę dobry instrument, jaki trzymałem w ręku. Potem, w 1958 roku, wymieniłem go na inny saksofon tenorowy, na którym gram do dzisiaj.

Kiedy po raz pierwszy zagrał Pan przed publicznością?

Pierwszy raz publicznie i profesjonalnie, bo za pieniądze, wystąpiłem w noc sylwestrową 1951/1952, w zakładzie pracy w Kaliszu. Grałem jako pianista z lokalną orkiestrą. Przygrywaliśmy do tańca uczestnikom imprezy noworocznej.

Natomiast pierwszym ważnym dla mnie występem publicznym był koncert z zespołem Krzysztofa Komedy na I Festiwalu Jazzowym w Sopocie w 1956 roku. Przed festiwałem zagraliśmy w jazz klubie „Tygodnika Zachodniego” w Poznaniu, bo Krzysio chciał wypróbować zespół przed widownią.

Jeszcze wcześniej zdarzyło mi się zagrać z zespołem Grzewińskiego, ale to akurat nie był mój najwspanialszy występ. Grałem wtedy na klarencie, który był popsuty i nie potrafiłem go naprawić. To był mój jedyny występ w zespole Grzewińskiego.

W 1956 roku zaczął Pan grać w sekstecie Komedy. Jak rozpoczęła się Pana współpraca z Krzysztofem „Komeda” Trzczańskim?

Krzysio zamarzył sobie, że stworzy zespół jazzowy. Nie było w Poznaniu doświadczonych muzyków, więc wziął garstkę ludzi, którzy coś tam grali i próbowali. Wśród nich byłem i ja. Uczyl nas grać dosłownie od podstaw. Pokazywał nam godzinami w domu, przy fortepianie, co i jak trzeba grać. Od razu na wstępie dostałem wspaniałą edukację, która w żaden inny sposób nie byłaby wtedy możliwa.

Jako pierwszy polski muzyk jazzowy wystąpił Pan w 1958 roku na festiwalu jazzowym w Newport w USA. Jak Pan tam trafił?

Amerykański promotor jazzu, George Wein, tworzył międzynarodową orkiestrę jazzową International Newport Band. W jej skład wchodził jeden muzyk z każdego kraju europejskiego. Przesłuchania konkursowe odbywały się także w naszym kraju. Miałem to szczęście, że grałem na saksofonie. Ludzie często nie zdają sobie sprawy, że w dużej orkiestrze

potrzebny jest tylko jeden pianista, basista i perkusista, a saksofonistów musi być co najmniej pięciu. Miałem więc od razu większe szanse. Poza tym byłem wówczas jednym z nielicznych jazzmanów, którzy potrafili sprawnie czytać nuty. Dzisiaj wydaje się to śmieszne i takie problemy nie istnieją, ale wtedy jazz rodził się u nas w kręgach amatorskich i większość muzyków nie znała nut. Ku mojemu zdziwieniu dowiedziałem się, że zostałem wybrany do orkiestry. Pojawił się jednak poważny problem, bo w tamtych czasach wyjazd z PRL do USA był czymś wręcz nierealnym. Bardzo mi wtedy pomógł Roman Waschko, który postawił na nogi kogo się dało, żebym mógł wyjechać. Udało się! Na festiwalu zagrał z nami jako solista sam Louis Armstrong. Potem graliśmy jeszcze w innych miastach europejskich.

Jak wygląda zwykły dzień jazzmana, kiedy nie ma ani koncertu, ani żadnego nagrania?

Nie ma takiego dnia, aby nie trzeba było gdzieś iść. Jeżeli nie mam koncertu ani nagrania, to muszę biegać i załatwiać ten koncert i nagrania. Zostaliśmy puszczeni samopas. Nie mamy żadnych agencji, które załatwiałyby za nas nasze sprawy. Sami pełniemy funkcję swoich menedżerów. Musimy załatwiać sto tysięcy spraw, łącznie z księgowością. Roboty jest do diabła i jeszcze trochę, a jak już wszystko się załatwi, to trzeba wziąć do ręki instrument i ćwiczyć.

Jak długo dziennie Pan ćwiczy?

To zależy od okoliczności. W życiu jazzmana najczęściej czasu pochłaniają przejazdy. Powinno się nas raczej traktować jako zawodowych kierowców, a nie jako zawodowych muzyków (*śmiech*). Każda godzina koncertu jest okupiona przynajmniej czterema godzinami jazdy.

Powinno się codziennie wziąć instrument do ręki, choćby na chwilę. W zależności od czasu, chęci i potrzeb ćwiczę czasami pół godziny, a czasami i trzy, cztery go-



dziny. Muszę zdradzić tajemnicę, którą notabene polecam wszystkim muzykom: „Żeby w ogóle ćwiczyć na instrumencie, trzeba go wyjąć z futerału”. A przed tym mamy największy opór psychiczny. Dlatego, kiedy przyjeżdżam do domu, wyciągam saksofon z futerału i stawiam go na stojaku, żeby był gotowy do grania. Wtedy zawsze przychodzi w końcu chęć, żeby sobie poćwiczyć. Bo to naprawdę jest przyjemne zajęcie.

Dużo Pan jeździ i koncertuje. Które miejsca w Polsce są, według Jana Ptaszyna Wróblewskiego, stworzone do grania i słuchania jazzu? Strasznie trudno na to odpowiedzieć. Rzekłbym, że jednym z najgorszych miast jest Warszawa. Myślę o centrum stolicy, gdzie bardzo mało się dzieje. Natomiast na obrzeżach jest zupełnie inaczej. Wspaniałe kluby jazzowe istnieją na przykład w Łomiankach i na Ursynowie. W centrum otwierane są coraz to nowe kluby jazzowe, ale publiczność jest okropnie rozkapryszona. Nie nawykła do atmosfery takich miejsc, dlatego bez przerwy coś się zmienia. Jedne kluby padają, inne zawiązują się na nowo.

Jeszcze do niedawna wspaniałym miejscem dla jazzmanów było Trójmiasto, czyli Gdynia, Gdańsk i Sopot. Ale wiem, że wszystkie tamtejsze kluby jazzowe przeżywają teraz poważne problemy finansowe.

Do moich ulubionych miast należy Zamość. Jestem tam zapraszany od dwudziestu lat i to nie tylko na występy, ale często także w charakterze doradcy. W Zamościu odbywają się m.in. Spotkania Wokalistów Jazzowych, na których bywam regularnie. Chyba

z żadnym innym miastem nie jestem tak blisko związany.

Należy wymienić także Przemyśl, do którego dość regularnie jeżdżę i gdzie zawsze mile spędzam czas. Od trzech lat miastem jazzowym jest Bielsko-Biała, gdzie organizowana jest Bielska Zadymka Jazzowa. To impreza o szczególnej atmosferze. Mam tu już tylu znajomych, że przyjazd do Bielska przestaje być dla mnie wyjazdem na koncert, ale staje się odwiedzinami niemalże rodzinnymi.

A czym by się Pan zajmował, gdyby jazz nie istniał?

Prawdopodobnie byłbym mechanizatorem rolnictwa. Ale gdybym miał wpływ na to, kim mogę być i mógł swobodnie wybierać, to chciałbym być Brazylijczykiem

Dlaczego???

Bo tam, w Brazylii mają bardzo piękną muzykę.

Dziękuję Panu za rozmowę.

Z Janem Ptaszynem Wróblewskim rozmawiała Elżbieta Oleksy.

Czas HERBATY

plynie powoli. Plynie wonną strużką barwy i smaku. Plynie w dostojnej ciszy, bo Czas Herbaty, to czas skupienia i powagi. Bo to czas obcowania z tajemnicą Harmonii i Spokoju. Herbata wymaga szacunku, chociażby dlatego, że jest bardzo, ale to bardzo stara. I – podobnie jak w przypadku mitycznych herosów – nie wiadomo skąd się tak naprawdę wzięła. Owiane legendą początki tradycji parzenia herbaty sięgają drugiego tysiąclecia przed Chrystusem, kiedy to w Chinach panował znamienity, uczony cesarz Szen-Nung, uchodzący za biegłego nader ziołarza. Prowadził się ów nadzwyczaj higienicznie, stąd też zwykł był pić samą tylko gotowaną wodę. Szukając wytechnienia, spoczął pewnego popołudnia pod drzewem dzikiej herbaty. Wnet rozpalono ogień, woda w kociołku zabulgotała i wtedy zerwał się wiatr. Nie wiadomo, czy był to przypadek, czy tak chcieli bogowie, koniec końców – na wietrze zawirowały listki, wpadały do ognia, wpadały do wody. Uniósł się

przedziwny, cudowny aromat, któremu cesarz nie zdołał się oprzeć – zaczerpnął z kociołka. Skosztował, i jakież było jego zdziwienie, gdy poczuł, że w ciało wstępuje orzeźwiająca siła! Odtąd Cesarstwo Chin stało się Królestwem Herbaty, a Szen-Nung zwykł był powtarzać: „Jeśli jesteś przygnębiony, herbata doda ci animuszu”.

Czy tak było naprawdę, nie można wiedzieć na pewno, bo znów inna opowieść głosi, że pono syn króla Indii, krzewiący buddyzm w Chinach, postanowił oddać się siedem lat trwającej medytacji. W piątym roku czuwania święty ten mąż poczuł się wreszcie znużony. Oparł się o drzewo i ze wszystkich sił próbował wytrwać w swym zamiarze. Nie myśląc, co czyni, zrywał mimochodem listki, począł je przegryzać i wtedy stał się cud pokrzepienia. Uczniowie owego świątobliwego męża, założyciela sekty zen, odtąd rytualnie parzyli i pili herbatę na pamiątkę tego zdarzenia. W Japonii zaś opowiadają, że było inaczej: otóż gdy czwanie i medytacja trwały już pięć lat, walka ze snem stała się cierpieniem tak nieznosnym, że zrozpaczony święty obciął swe powieki, by się już nigdy nie zamykały. W miejscu, gdzie spadły, wyrosły w tej samej chwili dwa krzewy. Towarzysze Mistrza z nabożeństwem zebrali liście z cudownie wyrosłego krzewu i sporządzili zeń napój o krzepiących i ożywczych właściwościach. Zrazu pili go tylko mnisi, a i to jedynie w celach leczniczych. Z czasem trafił do pałaców, by wreszcie na koniec użyczono go też maluczkim. W Japonii, dokąd przybył z Chin, rozpowszechnił się on dzięki buddyjskiemu rytuałowi herbaty, będącego nad wyraz efektowną, widowiskową ceremonią. Picie herbaty stało się tam „religią sztuki życia”, a sama celebrowana była licznymi nakazami i zakazami.

W Chinach od początku pito wyłącznie zieloną herbatę, gdy jednak upomniła się o nią reszta świata, trzeba było znaleźć sposób na zachowanie wszystkich jej walorów i przetrwanie długich podróży. Poddano ją zatem fermentacji (procesowi konserwującemu) – i tak powstała herbata czarna. Równolegle w ogrodach klasztornych japońscy mnisi zatroszczyli się o przywiezienie z Chin nasiona i wyhodowali własne krzewy herbaciane. Bardzo, ale to bardzo ucieszył się z tego panujący wtenczas cesarz Saga – herbata z klasztoru trafiła do pałacu, i tym sposobem zapanowała i pośród władców, i wśród kapłanów.

Wszędzie ogromną wagę przywiązywano do tych maleńkich listków od chwili, gdy tylko się zawiązywały. Zbierające je dziewczęta musiały być młode i zdrowe, by delikatny dotyk nie kalał rośliny. Obowiązywała je ścisła dieta, w której żadną miarą nie mogły znaleźć się przyprawy, ich woń mogłaby bowiem szkodzić szlachetnemu aromatu. Ów sam w sobie jest niezwykle i przebogaty, a jednak od początku łączono go z rozmaitymi dodatkami, dzięki czemu powstawały nowe kompozycje. Była to i słodka cebulka, i imbir, i skórka pomarańczowa, i mięta. Z czasem włączono subtelniejsze esencje i olejki z kwiatów jaśminu, lotosu i chryzantem.

Wiadomość o cudownym napoju, który usuwa zmęczenie, raduje duszę, wzmacnia wolę, poprawia wzrok i jest składnikiem eliksiru nieśmiertelności – w mig obiegła świat. Narody rozsiewały po własnym gruncie i nasiona, i tradycję, i kult – co sprawiło, że bogactwo sposobów na herbatę jest wprost nieprzebrane. Japońska Ceremonia to filozofia i teatr, długi obrządek, niemal religijny. Chińczycy własnym zwyczajem zaparzają zieloną herbatę w specjalnej, rozszerzającej się ku górze czarce z przykrywką, wlewają ją przez wąziutką szparkę, by nie rozpraszać aromatu. Tybetańczycy uważają herbatę za napój niemal święty, szczególnie chętnie piją napar na słono. Biorą więc kawałek zielonej cegielki, rozdrabniają i zagotowują w wodzie. Po paru minutach precedzają, by następnie wlać do bańki z kozim mlekiem, albo mieszają z masłem ubitym na mleku jaka i z solą. Rosja natomiast zasłynęła w historii herbaty jako ojczyzna samowaru, choć ten tak naprawdę pochodzi od Mongołów. Cudowne to urządzenie łączy w sobie żywy ogień, żywą wodę i życiodajny napój. Do picia używają Rosjanie szklanek z metalowymi uchwytami i w czasie popijania lubią trzymać w ustach kostkę cukru lub inny słodczy. Angielskie herbaty, wypijane o piątej po po-

łudniu są dla Anglików czymś tak oczywistym, jak to, że słońce wschodzi i zachodzi.

Koneserzy twierdzą, że herbata swą królewskość zawdzięcza temu, iż nie ma arogancji wina, zadufania kawy ani słodkiej niewinności kakao. Obcowanie z królową to odpowiedzialność. Chiński poeta wymieniał trzy najbardziej godne ubolewania uchybienia w życiu



człowieka: zaprzepaszczenie talentu przez niedbałe wychowanie, pohańbienie wspaniałego malarstwa przez wulgarny zachwyt i marnotrawstwo doskonałej herbaty przez nieumiejętne zabiegi.

Przystępując do parzenia herbaty, przede wszystkim trzeba zaniechać złych, niegodziwych i dręczących myśli, by w czystości obcować z napojem świętym i cesarzy. Piękny imbryk należy niezbędnie ogrzać, podobnie filiżanki – herbata nie znosi zimna (chyba że jest herbatą mrożoną, lecz wtedy królestwem jej jest szkło i kryształki lodu). Porcelana czy kamionki – one ją muszą otulić. Czas Herbaty jest leniwy, nie wolno go popędzać. Dlatego konieczny jest milczący stan oczekiwania: listki muszą się zaparzyć – czarne w pierwszym wrzątku, zielone w gorącej wodzie. Gdy napar osiągnie właściwą moc, listki z zaparaczem można usunąć i dopiero wtedy okryć imbryk kaprurkiem, chroniącym nie tylko ciepło, ale i aromat. Na tę chwilę trzeba oddać herbacie duszę, by dostać w zamian herbaciany cud. Pić i upajać się nim, „by zapomnieć o zgiełku tego świata”.



Radżastan

notatki z podróży



INDIE JUŻ OD PIERWSZEJ CHWILI OSZAŁAMIAJĄ EGZOTYKĄ NAWET NAJBARDZIEJ RASOWEGO PODRÓŻNIKA, RADŻASTAN ZAŚ OFERUJE WSZYSTKO, CO W INDIACH NAJLEPSZE. TO KRAINA POŁOŻONYCH NA PUSTKOWIACH OBRONNYCH FORTEC I PORĄŻAJĄCYCH PRZEPYCHEM BAŚNIOWYCH PAŁACÓW. KRAINA KOBIEC BARWNYCH NICZYM KWIATY, W *SARI* MIENIĄCYCH SIĘ WSZYSTKIMI ODCIENIAMI CZERWIENI I POMARAŃCZY, ORAZ WĄSATYCH MĘŻCZYZN, NOSZĄCYCH NA GŁOWACH FANTAZYJNE TURBANY. KRAINA, KTÓREJ HISTORIA NAZNACZONA JEST HEROICZNYMI CZYNAMI MĘŻNYCH WOJOWNIKÓW.



Sadhu,
wyznawca Brahmy.



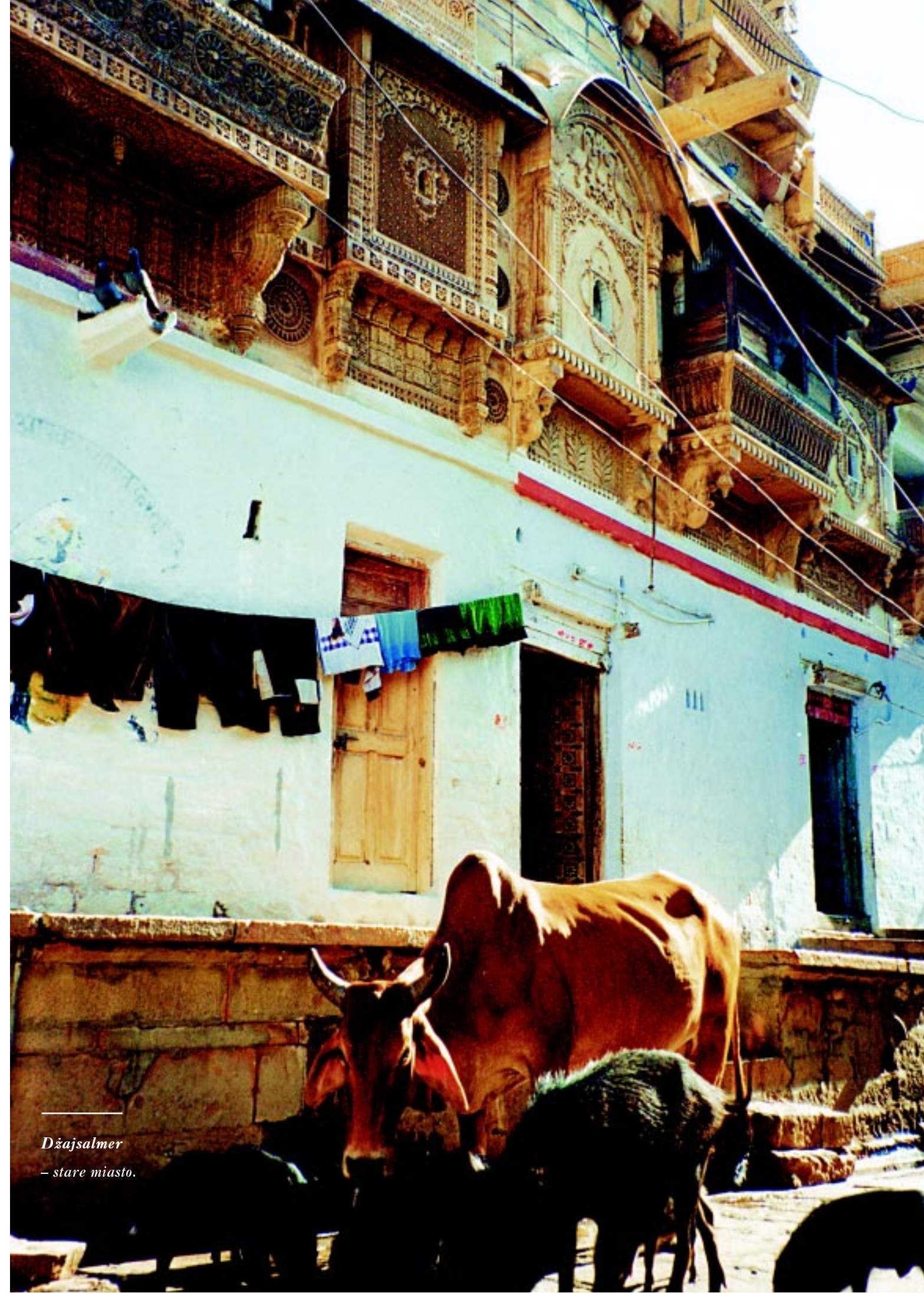
Barwne stroje
radżastańskich kobiet
kontrastują
z monotonią pustynnego
krajobrazu.

Panami tej ziemi byli od wieków dumni i niezależni Radżpuci, postępujący według kodeksu rycerskiego i honorowego, podobnie jak szlachta w średniowiecznej Europie. Toczyli zaciekłe boje z najeźdźcami, a w obliczu zbliżającej się przegranej ogłaszali *dżauhar*. Mężczyźni, przyodziani w szafranowe szaty, ruszali wtedy na spotkanie niechybnej śmierci, a kobiety i dzieci ginęły w płomieniach, aby nie dostać się w ręce wroga. Również w czasach pokoju wierne żony i liczne konkubiny maharadżów popełniały zbiorowe *sati*, dobrowolnie podążając za zmarłym mężem na stos pogrzebowy. Na murach fortu w Bikaner wciąż można zobaczyć pozostawione przez nie ślady dłoni.

Do upadku i roztrwonienia majątków radżpuckich władców przyczynił się między innymi ich wystawny, ekstrawagancki styl życia, ze szczególnym upodobaniem do dalekich podróży w towarzystwie całego haremu i licznej świty. Na przełomie wieków potomkowie maharadżów próbowali ratować swoje finanse, przekształcając pozostające w ich rękach wspaniałe fortecy w muzea i luksusowe hotele.

Dżajsalmir – przywodząca na myśl opowieści z *Księgi tysiąca i jednej nocy*, ozłocona blaskiem zachodu słońca pustynna forteca – zauroczyła nas od pierwszego wejrzenia. Nie mogąc doczekać się następnego ranka, przekraczamy nocą mury obronne. Kluczymy bez celu w labiryncie wyludnionych uliczek starożytności tak wąskich, że ledwie mieszczą się drzemiące spokojnie na środku święte krowy. Dopiero rankiem, w świetle dnia, dostrzegamy cudne koronkowe zdobienia, misternie rzeźbione okienka i krużganki. Fasady kamienic z żółtego piaskowca, zwane *haveli*, odzwierciedlają niezwykłą wyobraźnię miejscowych artystów. Zachwycają nas nawet najskromniejsze domy, a pierwszego wrażenia nie jest w stanie zepsuć nawet kolorowe pranie, rozwieszone między balkonikami, ani też stadko czarnych prosiaków, grzebiących w kupie śmieci przed bramą.

Droga przez pustkowia w piekielnym upale. Na jałowej, żółto-ceglastej ziemi pustyni Thar rosną tylko kępki suchych traw, skubane przez wychudzone kozy i owce. Gdzieś na horyzoncie przemyka kilka wielbłądów. Zatrzymujemy się, by odpocząć, a po chwili jesteśmy już oblężeni przez gromadkę roześmianych, ciekawskich dzieciaków w podartych koszulkach. Skąd się wzięły na tym bezludziu? Nieco dalej widać niewielką osadę – kilka przytulonych do siebie okrągłych chatek ulepionych z gliny zmieszanej z krowim łajnem, otoczonych płotem z wysuszonych badyli. Kobiety z dzbankami wody na głowach



Dżajsalmir
– stare miasto.



*Gorący i suchy klimat
Radżastanu dobrze
znoszą jedynie
wielbłądy.*

właśnie wracają od studni. Mimo biedy, prezentują się wspaniale – noszą na co dzień strojną biżuterię, którą dostały w posagu przed zamążpójściem. Kolorowe bransolety sięgają ramion, wokół kostek brzęczą srebrne dzwoneczki. Dla wielu rodziców posiadanie córki to katastrofa finansowa, wiążąca się z zaciąganiem olbrzymich długów, by zapewnić jej godne wiano i urządzić wystawne wesele. Zostajemy zaproszeni do środka – gospodarze częstują nas tajemniczymi owocami prosto z krzaka oraz plackami z mąki i wody. Boimy się jeść pomarańczowe kulki, a *ciapaty* to pewnie wszystko, co mają na obiad. Jakoś nie mamy sumienia ich objadać.

Nad miastem Dżodhpur góruje monumentalny fort Meherangarh, wzniesiony na szczycie potężnej skały. Już sam widok pionowej, 125-metrowej ściany, musiał odstraszać wszelkich potencjalnych najeźdźców. Ku naszemu zaskoczeniu, najeżona armatami warowna forteca kryje cukierkowe wnętrza, lśniące szklanymi świecidełkami. Wpadające przez ażurowe okienka światło, odbija się w inkrustowanych szlachetnymi kamieniami parawanach,

oświetla zdobione złotem i mozaiką kolorowych paciorków ściany. Wyobrażamy sobie maharadzę rozłożonego na miękkich poduszkach, spoglądającego łaskawym okiem na skąpo odziane tancerki o egzotycznej urodzie...

Puszkarz jeszcze śpi, ale na *ghatach* (stopniach prowadzących do wody) zaczynają gromadzić się pierwsi pielgrzymi. Uroczę jezioro pośrodku tego spokojnego miasteczka jest bowiem dla wyznawców hinduizmu ważnym miejscem rytualnych ablucji. W nabożnym skupieniu kobiety zrzucają zwiewne zwoje *sari* i, cicho szepcząc słowa modlitwy, wielokrotnie polewają się wodą. Odchodzimy na palcach, by nie zakłócać swą obecnością tego pięknego misterium...

Nieopodal wznosi się jedyna w całych Indiach, zwieńczona czerwoną iglicą, świątynia Brahmy. Według prastarej legendy, kwiat lotosu, który wypadł z jego dłoni, przemienił się w jezioro. Bóg pojął za żonę, mieszkającą nad jego brzegiem, zwykłą kobietę, czyniąc z niej boginię. Tego afrontu nie zniosła prawowita małżonka i rzuciwszy klątwę, sprawiła, iż po dziś dzień Brahma czczony jest tylko w Puszkarze. We wrotach świątyni wtapiamy się w barwny tłum kobiet, naśladując je krok po kroku. Na powitanie dotykamy dłonią dzwonka, zawieszonego u progu, następnie składamy na ręce *sadhu*, czyli świętego męża – dar z płatków róż. W zamian otrzymujemy zawiniątko z gazety, a w nim kwiaty i cukrowe kulki, które mamy wrzucić do świętego jeziora, jako ofiarę złożoną Brahmie. Gdy pochylamy się nad wodą, kapłan powtarza dźwięczne zaklęcia i znaczy nam czoła czerwoną *tiką*. Poddajemy się magii chwili.



Krętymi uliczkami naszym śladem podąża jak cień pomocnik kierowcy, ostrzegając łamaną angielszczyzną przed samodzielnymi wyprawami do miasta. My jednak czujemy się bezpiecznie, gdyż nie spotkaliśmy się z żadnymi przejawami nieżyczliwości ze strony tubylców. Aby zrozumieć Hindusów, najczęściej żyjących na skraju ubóstwa, którzy obojętnie spoglądają, jak święte krowy pustoszą ich poletka, pogodzonych ze swym losem, trzeba pojąć fundamentalne założenia ich religii. Hinduizm pomaga prze-

trwać. Śmierć jest wybawieniem, obietnicą, nadzieją. W kolejnym wcieleniu wszystko może się odmienić, a wtedy nawet największy nędzarz może dostąpić szczytu życia w luksusie, dostępnego teraz tylko maharadzom.



RS ROMANTYCZNY STYL

SZANSA NA PŁYTĘ CD !!!

PROMOCJA TALENTÓW MUZYCZNYCH !

ROMANTYCZNY STYL ORAZ STUDIO ATRIUM ZAPRASZAJĄ:

- **ZESPOŁY**
- **WOKALISTÓW I WOKALISTKI**
- **MUZYKÓW**

DO WZIĘCIA UDZIAŁU W NASZYM KONKURSIE WYSTARCZY WYSLAĆ NA ADRES REDAKCJI:

- **KASETĘ ZE SWOJĄ MUZYKĄ**
- **ORAZ WYPEŁNIĆ FORMULARZ ZGŁOSZENIOWY***

NAGRODĄ DLA ZWYCIĘZCY BĘDZIE WYDANIE PŁYTY CD ORAZ JEJ REKLAMA NA ŁAMACH ROMANTYCZNEGO STYLU.

*Formularz zgłoszeniowy dostępny jest na naszych stronach internetowych www.romantycznystyl.pl lub w siedzibie redakcji.
Termin nadsyłania zgłoszeń: 15 października 2001 r.

Tekst: Marta Lelek

Zdjęcia: Marta Lelek i Ivailo Aleksiew

Druciane nostalgie bułgarskiego artysty



Fot. I. Aleksiew

Venelina poznaliśmy w październiku. W Sofii o tej porze roku niebo jest już zachmurzone. Na drzewach sporo jeszcze zielonych liści, które ukrywają szarość wielkiego miasta. A ono nie myśli już o turystach, żyje własnym rytmem. Jest jeszcze ciepło, więc na placu, przy fontannie daje występ kapela. Niemłodzi już muzycy grają pięknie. Płyną cygańsko-balkańskie melodie, przy których siedzący na ławkach mężczyźni toczą szachowe pojedynki, a kobiety pilnują bawiących się nieopodal dzieci.

Nielicznych już obcokrajowców spotkać można tylko w cerkwiach lub na bazarze, gdzie można ku-

pić antyki, dzieła sztuki i tandetne pamiątki. Tych ostatnich jednak jest najmniej. Sofijski bazar to przede wszystkim miejsce, w którym spotykają się miejscowi artyści i handlarze sztuką. Pośród stołów, na których wystawiono oryginalną biżuterię, stare, cynowe naczynia, instrumenty muzyczne i inne przedziwne przedmioty – ktoś rozłożył kawałek tektury, a na niej poustawiał pojazdy z drutu, blachy i kawałków starych zegarów. Stare limuzyny, karety, rowery, a w nich naparstki krawieckie, agrałki, stalówki ze śladami atramentu na obsadkach... Naszą uwagę przykuł motocykl: bak miał zrobiony z naboju do syfonu. Takie syfony istniały i u nas, w Polsce, w czasach minionej, socjalistycznej epoki. Mnóstwo małych historii stworzyło teraz inną: zabawną, trochę bajeczną, wypełnioną nostalgiczną wyobraźnią swojego wykonawcy.

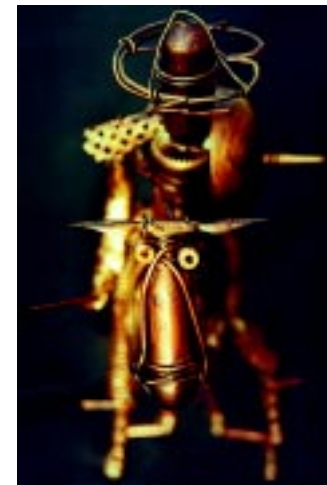
Kim jest autor tych fascynujących przedmiotów? Nie łatwo było do niego dotrzeć. Na bazarze, pośród pojazdów stał handlarz, który w miarę jak wzrastało nasze zainteresowanie, coraz bardziej wymigiwał się od udzielania informacji, za to bezczelnie podwyższał ceny. W końcu jednak ustąpił.

Venelin Radev Petrov, urodzony w Ruse nad Dunajem. Absolwent Sofijskiej Akademii Sztuk Pięknych, specjalność: formy przemysłowe. Wiele lat pracował jako projektant w przeróżnych zakładach produkujących konfekcję, sprzęt elektroniczny, meble. Zdobył wiele nagród na konkur-

sach krajowych, w tym na największej, bułgarskiej wystawie form przemysłowych w Płowdiw. Przez jakiś czas z powodzeniem sprzedawał swoje prace w Paryżu. Za zarobione we Francji pieniądze kupił volkswagena „garbusa” rocznik 1975, którego pokochał. Jeździ nim do dziś i prawdopodobnie to ulubione auto zainspirowało go do konstruowania drucianych pojazdów.

Kryzys gospodarczy w Bułgarii, a potem zmiany ustrojowe, pozbawiły Venelina pracy zarobkowej. Dzisiaj jest jednym z wielu uzdolnionych twórców, których w biednym, postkomunistycznym kraju o skomplikowanej sytuacji ekonomicznej nikt nie potrzebuje. Venelin nie potrafi jednak nie być artystą. Jego niespokojna dusza nieustannie ponagla go do czynu i nakazuje tworzyć. Venelin maluje więc obrazy. Smutne, miejskie pejzaże, zasnuwane mgłą, ociekające deszczem, a może łzami? Puste place i ulice miasta, w którym nie ma miejsca dla artystów...

Czy ktoś kupuje te dzieła? Venelin udziela wymijającej odpowiedzi, przyznaje jednak, że od czasu do czasu ktoś zainteresuje się jego drucianymi pojazdami. Nabywcami są najczęściej zagraniczni turyści,




Fot. I. Aleksiew

których, niestety, jest dziś znacznie mniej w Bułgarii, niż przed laty. Konstrukcje Venelina mają w sobie zupełnie inny rodzaj energii niż jego obrazy. Nie są smutne. Przybierają zabawne kształty, a użyte w nich akcesoria zegarmistrzowskie oraz przedmioty codziennego użytku sugerują dystans wobec rzeczywistości. Części pochodzące ze starych zegarków i budzików można wprawić w ruch, wówczas samochód tyka, a czasem nawet dzwoni. To właściwie zabawki, tyle że przeznaczone dla dorosłych. Z metalowych odpadów Venelin „wyplata” także statki, samoloty oraz... Don Kichota z Sancho Pansą na ich ulubionych rumakach. To jedyne postacie ludzkie, przyobleczone w drucianą formę. Dlaczego właśnie one? Z pewnością nie był to wybór przypadkowy! Romantyczny rycerz idealista, bujający w obłokach oraz jego prostolinijny giermek, posługujący się zdrowym rozsądkiem – oto dwie, zmagające się ze sobą postawy jakże charakterystyczne dla artysty w niesprzyjającym dla niego czasie i miejscu...



Fot. M. Lelek

W domu Venelina nie przelewa się. Żona i dzieci zmagają się z niedostatkiem. Venelin chciał wymyślać prawdziwe samochody, motory i rowery. Nie udało się. Realizuje jednak swą pasję w takiej skali, na jaką go stać. Każdy skonstruowany przez niego model jest niepowtarzalny. Zawiera porcję niespełnionych marzeń. Pelen jest jednak radosnej, dziecięcej fantazji. Kiedy pojawia się kupiec, Venelinowi trudno rozstać się ze swym dziełem. Ze sprzedaży cieszą się natomiast żona i dzieci.

A zgromadzonego drutu – zegarkowego złomu i innych metalowych rupieci – starczy jeszcze zapewne na wiele nowych i oryginalnych egzemplarzy! 



Fot. M. Lelek

Fot. M. Lelek



W paryskiej rezydencji

Tekst i zdjęcia: Henry de Lancesseur VOTRE MAISON

W paryskiej kamienicy z XIX wieku zamieszkał sławny artysta. Niezwykła to gratka mieć taką rezydencję w Paryżu, na dodatek otoczoną malutkim ogrodem, urządzonym w stylu francuskim.

Symboliczne figurki.

Para drewnianych, złożonych chimer doskonale odzwierciedla zamiłowania artysty.





Wykwintny styl dekoracji. W pokoju kreatora mody podziwiać można wspaniałą kolekcję talerzy orientalnych, przywiezionych z Chin, Japonii i Indii.

Sztuka w domowych wnętrzach, piękniejsza niż w muzeum.

Wyszukana różnorodność. Powyżej zegar z hebanu i brązu z epoki Ludwika XIV.



Słowo „kolekcjoner” w odniesieniu do właściciela tej rezydencji należy rozumieć w jego najszlachetniejszej odmianie. Jest wiele typów kolekcjonerów. Dominują na ogół ci, którzy gromadzą niezliczone ilości przedmiotów tego samego gatunku. Natomiast w „kolekcji” Jean-Louis Scherrera nic się nie powtarza. Należy on bowiem do tego rodzaju artystów, którzy łączą przedmioty, meble, obrazy niepasujące na pierwszy rzut oka do siebie. Jest przy tym wielkim miłośnikiem Dalekiego Wschodu, a wiadomo, że wszystko, co stamtąd pochodzi, jest różnorodne!

Przedmioty z różnych epok i utrzymane w różnorodnej stylistyce, zestawione może zbyt odważnie ze sobą, w praktyce doskonale uzupełniają się. Tak oto powstaje nieco ekscentryczna „harmonia w różnorodności”. Trzy duże pokoje, tworzące ciąg w amfiladzie, zachowały XVIII-wieczny wystrój, podkreślany przez charakterystyczne boazerie, a także sprzęty użytkowe. Pod sufitem podziwiać można typowe dla rezydencji tradycyjne malowidła.



Egzotyka. Tradycyjne malowidła europejskie z XIX w. i japońskie latarnie z XVIII w.

Dzięki odpowiedniej wysokości pokoju, zasłony mogą swobodnie opadać na podłogę. Obrazy zostały zawieszane tak, aby w całym wnętrzu panowała absolutna harmonia: każdy element znajduje się tutaj w idealnie dobranym dla niego miejscu – to wielka sztuka! Jedynie pokój pana domu, gdzie dominuje nastrój orientalny, odbiega od narzuconego ogólnie porządku. Wyszukany styl, niezwykle starannie dobrane meble i przedmioty.



Na złotym tle. Piękny parawan japoński z XVIII w. składa się z sześciu malowanych części. Tutaj posłużył jako tło dla kolekcji rzadkich przedmiotów.

Dostojne lustro. XVIII-wieczne lustro, obramowane rzeźbionymi w drewnie ornamentami w kształcie liści akantu, zdominowało wystrój wnętrza.



Pod portretem monarchy. Na ścianach jadalni wiszą cztery obrazy z XVII w.; fotel w stylu Ludwika XVI i piękny mebel z chińskiej laki.



Tekst: Edward Poskier
Zdjęcia: Marta Lelek i Jacek Balicki

*Jacek Balicki z córką
Martą, oboje zakochani
w starych autach.*



Fot. M. Lelek

Ludzie z pasją

Uchronić od zapomnienia

Przedmioty nabierają ducha wraz z upływającym czasem. Przeważnie starzeją się, rozpadają i znikają, zanim ktokolwiek owego ducha dostrzeże i zdoła się nim uraczyć. Samochody są tymi spośród rzeczy, które ulegają takiemu procesowi najszybciej. Zbyt szybko zmieniają się ich karoserie, silniki i parametry techniczne, by właścicielom konkretnych modeli opłacało się je długo utrzymywać w dobrej kondycji. Te egzemplarze, którym dzięki pasji człowieka, udało się przetrwać, budzą dziś zachwyt i podziw zarówno dla ich twórców, jak i późniejszych rekonstruktorów. A i ducha trudno im odmówić.
Hansa 1100 rocznik 38 wyprowadzona ze stanu całkowitej ruiny – przedmiot dumy i satysfakcji.

Fot. M. Lelek



Moda na kolekcjonowanie starych za-
bytkowych samochodów rozpo-
wszechniła się na szeroką skalę
w Stanach Zjednoczonych, potem w Europie, a ostat-
nimi czasy także w Polsce, gdzie pojawiły się kolekcje
prywatne (nie mylić z ekspонатami w przyfabrycznych
izbach historycznych). W kraju doczekaliśmy się kil-
ku dobrych muzeów lub skansenów *old timerów*, są też
warsztaty, w których te samochody są pieczołowicie
rekonstruowane. Choć w zniszczonej wojną Polsce nie
ma aż tak wielu okazałych ekspонатów, to jednak ko-

lekcjonerzy zgromadzili auta, które nawet światowych
koneserów wprawiają w zdumienie.

Jednym z mistrzów w rekonstrukcji zabytkowych
samochodów jest Pan Jacek Balicki z Bielska Białej,
znany doskonale w świecie pasjonatów *oldies*.
W swoim dobrze zorganizowanym warsztacie, gdzie
posiada blacharnię, lakiernię i montażownię aut,
przywraca dawnym samochodom blask i sprawność.
Byłem, widziałem i jestem pełen podziwu dla jego
pracy i wyników! W warsztacie remontuje auta na zle-
cenie klientów. Kiedy robiłem ten reportaż, do dro-



Fot. J. Balicki

*Fiat 1100, rocznik 38
– w fazie rekon-
strukcji, oraz po jej
ukończeniu. Iden-
tyczny model w 1999
roku zdobył tytuł
Mistrza Polski
w kategorii pojazdów
zabytkowych.*



Fot. J. Balicki

gi gotowa była piękna niemiecka „Hansa” 1100 ca-
brio z 1934 r., a w fazie końcowej – sedan.

Z innych aut wprawiają w podziw: „Renault Flori-
de” z lat 60., „Fiat Topolino” z lat 20., niemiecki „Wan-
derer” z 1938 r. i inne. Pan Jacek posiada także wła-
sne eksponaty, do których należą: „Opel 2,0 l” z 1934
r., „Fiat 500 Topolino” z lat 20., MGB z lat 60. i inne.
Swoją profesję zajmuje się już ponad 30 lat! W tym
okresie zrekonstruował wiele aut, między innymi an-
gielską „Lagondę” M-45 z 1934 r., Mercedesa 190 SL
i dziesiątki innych. Gruntowny remont zabytkowego
auta jest zajęciem bardzo pracochłonnym i zajmuje
nierzadko cały rok! Aby go przeprowadzić, potrzebna jest

*Warsztat Jacka
Balickiego ma
niesamowitą
atmosferę. Pod
wiszącymi
z sufitu paję-
czynami, wśród
milionów narzędzi
i trudnych do
zidentyfikowania
części samo-
chodowych
błyszczą pra-
wdziwe perełki:
Opel 2l rocz-
nik 34, oraz
Renault Floride
rocznik 66.
Takim Renault
jeździła Brigitte
Bardot !*

Fot. M. Lelek





Fot. J. Balicki

Obecność starych samochodów na różnego rodzaju imprezach dodaje im splendoru. Podczas promocji spektaklu w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej stały się pretekstem do zabawy w minioną epokę.

MG - BGT rocznik 77 już prawie gotowy do jazdy.



Fot. M. Lelek

fachowa wiedza, pasja, znajomość tematu, no... i zgrana załoga! Auto, aby uznać je za pojazd zabytkowy, musi być w 100 procentach oryginalne. W najstarszych egzemplarzach dopuszcza się 60-procentową oryginalność detali. Za dobrze odrestaurowany eksponat można czasami kupić dwa porządne, nowe samochody średniej klasy, a czasami unikatowe pojazdy warte są fortuny. Ulubioną marką samochodu jest dla całej rodziny Balickich BMW: „Jest jakaś magia w tej marce!” – twierdzą.

AUTA POPULARNE, UNIKATY, RODZYNKI...

Do najpopularniejszych eksponatów na polskim rynku kolekcjonerskim należą auta niemieckie. Najczęściej spotyka się następujące marki: DKW, IFA, „Mercedes-Benz”, „Adler”, „Hansa”, BMW, „Hano-mag”, „Wanderer”, „Opel”, NSU, „Borgward”. Ponadto najwięcej jest aut pochodzących z polskich przedwojennych montowni Polskiego Fiata (Topolino, 508), montowanych w Polsce chevroletów, a także sporo francuskich marek, jak: „Citroen” i „Renault” czy czeskich – np. „Skoda” i „Tatra”. Ostatnio pojawiła się moda na auta z lat 60. i 70. W cenie są zwłaszcza marki angielskie, francuskie, szwedzkie i amerykańskie. Posiadanie rasowego „Triumph’a”, MG, „Morgana”, „Austina Healeya” czy „Jaguara” – to prawdziwa frajda i wielki zaszczyt! Jak zawsze, uwagę wzbudzają też auta kultowe, np.: VW „garbus” (tylko oryginalne), „Citroen” 2 CV, DS. 19, „Renault” 4 CV, MGB, „Volvo Amazon”, „Fiat 500 Nuova”, „Austin/Morris” mini, „Porsche” 911, „Willys Jeep”, „Cadillac Eldorado”, „Jaguar E”, „Mercedes” 190 SL, „Chevrolet Corvette” – to tylko nieliczne eksponaty, które były niegdyś szlagierami na światowych rynkach, a dzisiaj nadal wzbudzają podziw i sympatię. Są legendarne, kultowe, malownicze – i za to je właśnie kochamy!

RAJDY, ZŁOTY, PRÓBY SPRAWNOŚCIOWE...

To osobny rozdział w życiu Jacka Balickiego. Swoją pasją zaraził całą rodzinę. Wszyscy uczestniczą teraz w rajdach weteranów, zlotach i pokazach. Każdy pełni też różne funkcje organizacyjne. Pan Jacek od 1969 roku jest komandorem rajdów, małżonka Jolanta – vice-komandorem, córka Marta – rzecznikiem prasowym, syn Bartosz – kierownikiem trasy. Wszyscy też mają własne zabytkowe auta. Jacek Balicki jest ponadto członkiem prestiżowych klubów firmowych BMW i Opla w Niemczech, a w Polsce między innymi Automobilklubu Polskiego i PZM. W jego warsztacie na ścianach i na półkach zobaczyć można wiele dyplomów, plakietek, pucharów i innych pamiątek. Na brak pracy nie narzeka, przybywa wszak ciągle sympatyków starych samochodów. A ci mają jeden wytyczony cel – uchronić od zapomnienia piękno dawnej motoryzacji,

Czy ktoś odmówiłby przejażdżki tym dwuosobowym kabrioletem? Oto „Mercedes 170 Va” z roku 39. Tym samochodem Jacek Balicki, jako pilot startował w jednym z pierwszych rajdów, organizowanych w Polsce po wojnie. Wkrótce potem samochód uległ wypadkowi i zniknął z imprez. Po 25 latach w warsztacie pana Jacka pojawił się kolejny „wrak” przeznaczony do remontu. W tej „kupie złomu” nasz Mistrz rozpoznał właśnie ten samochód. Zrekonstruował model i osobiście wystartował nim w kolejnym rajdzie w Wiśle.



Fot. J. Balicki



Fot. J. Balicki

Wspaniała „Lagonda” M45 z 34 roku.



Fot. archiwum J. Balickiego

Jacek Balicki, jako oficer Gestapo, oraz jego Opel 2l w trakcie kręcenia filmu Gniazdo na ulicy Ptasiej w Krakowie.

O tym, jak próbowaliśmy nie rozmawiać o mężczyznach

ROZMOWA Z MARYLĄ RODOWICZ



- NIE DAJE SIĘ SOBĄ ZNUDZIĆ (CIEPŁO).
- WCIĄŻ ZASKAKUJE (CIEPLEJ).
- PROWOKUJE I WZRUSZA (GORĄCO).
- MARYLA RODOWICZ (PARZY!)

Fot. Universal



Fot. Universal

ROMANTYCZNY STYL:

O czym dzisiaj nie będziemy rozmawiać, jakich Pani nie lubi pytań?

MARYLA RODOWICZ:

Mówiąc szczerze, toleruję wszystkie pytania, ale obiecałam mężowi, że nie będę opowiadać w nieskończoność o swoich byłych narzeczonych. Mąż to z trudem znosi...

Szanując prośbę męża, zacznę więc od dzieciństwa. Kim chciała Pani zostać, będąc małą dziewczynką?

Miałam różne etapy. Kiedy chodziłam do przedszkola prowadzonego przez zakonnicę, chciałam być oczywiście zakonnicą, chociaż one mnie nie lubiły, bo byłam śmieszka i bez przerwy stałam w kącie. Potem chciałam być aktorką, miałam zeszyt, do którego wklejałam wycinane z gazet zdjęcia aktorek. Moją „idolką” była Brigitte Bardot, pod jej wpływem obciąłam sobie grzywkę i w ogóle starałam się ją naśladować.

A z polskich aktorek?

Bardzo podobobała mi się Kalina Jędrusik. Była taka zmysłowa na ekranie, miała zresztą z tego powodu wiele nieprzyjemności, bo nie bardzo akceptowały jej wizerunek żony ówczesnych sekretarzy partyjnych...

Czy była Pani cudownym dzieckiem?

Byłam na pewno utalentowanym dzieckiem. Kiedy miałam sześć lat i zaczęłam uczyć się

na zajęcia baletowe, okazało się, że bardzo szybko się uczę i mam dobrą koordynację ruchową, zawsze byłam najlepsza w grupie. Pamiętam, że ogłoszono wtedy nabór do Mazowsza czy Śląska. Pomyślnie zdałam egzamin i bardzo chciałam się tam dostać, ale moja mama stwierdziła, że jestem za mała, żeby mnie wysłać w świat. Pod koniec podstawówki zaczęłam grać na skrzypcach i też bez żadnych ćwiczeń byłam najlepszą uczennicą. W tym samym czasie wyczynowo zajmowałam się sportem. Często zdarzało się, że po treningu, podczas gry na skrzypcach drżały mi ręce. Zapisalam się też do ogniska plastycznego, brałam udział w konkursach recytatorskich, jeździłam na łyżwach, konno, nie było wręcz czasu na naukę, bo miałam tyle zainteresowań. Mój dzień był tak wypełniony zajęciami, że nie znajdowałam czasu na randki. A jeśli już do nich dochodziło, to z adoratorem, który czekał na mnie długo i cierpliwie, po czym szliśmy... na cmentarz. Przeskakiwaliśmy mur i... emocje, jak na rybach. Można się było bać, w związku z tym przytulać. Zawsze takie ekstremalne sytuacje mnie pociągały.

Jak pieśczętnie nazywają Panią bliscy?

Marylka – w domu, a teraz mąż mówi do mnie – Maryś, a z kolei Agnieszka Osiecka mówiła na mnie – Mańka i jest parę osób, które do dzisiaj tak mówią, aha jeszcze Wojtek Gąsowski mówi – Mary.

Bo tak naprawdę, to ma Pani na imię Maria Antonina. Czy wie Pani, że ta francuska królowa była ponoć rozrutna i niemoralna?

Tak, i prawdę mówiąc, też jestem rozrutna, nigdy nie wiem, ile mam pieniędzy, czasem nawet się zdarza, że nic nie mam. Ostatnio we Włoszech po zakupach, które zrobiliśmy razem z koleżanką, okazało się, że nie mam nawet na kawę. Ale niemoralna nie jestem, mam swoje zasady!

Rozmawiamy na łamach „Romantycznego Stylu”, czy jest Pani osobą romantyczną?

Jestem bardzo romantyczna, działa na mnie poezja, muzyka, piękno przyrody, łatwo się wzruszam...

I co wtedy, łyż?

Oczywiście, ja nie mogę iść do kina bez sprawdzenia o czym jest film, dlatego nie poszłam na *Titanica* i *Gladiatora*; nawet kre-

skówki mnie wzruszają. Światła się zapalają, a ja wnoszę oczy do sufitu, bo tak naprawdę, to się wstydzę tych łez. Działają na mnie też mężczyźni, gdy mówią do mnie wierszem albo piszą uroczę liściki.

A jeśli chodzi o mężczyzn, ma Pani naturę zdobywcy czy też woli być Pani zdobywana?

Lubię się napracować, pocierpieć, należą do kobiet, które lubią cierpieć. Uważam, że tak naprawdę to kobiety zdobywają i decydują o tym, który mężczyzna ma je potem zdobywać (*śmiech*). Zdarzali mi się mężczyźni, którzy chcieli mnie obsypywać kwiatami i prezentami, dręczyli telefonami, a ja ich unikałam, wołałam cierpieć tygodniami, czekać na inny telefon. Wpatrywać się w ten milczący aparat...

Łamała się Pani i pierwsza dzwoniła?

Pewnie, popełniałam wszystkie błędy, jakie może popełniać kobieta.

Czy romantyk powinien być pesymistą, cierpiącym fatalistą czy też optymistą?

Nie ma reguły, ja jestem optymistką, pomagają mi zresztą w tym różne cechy charakteru, życzliwość, ufność. Znam ludzi, którzy nie wierzą w dobre intencje, wciąż się czują osaczeni, oglądają się za siebie; ja wolę swoją naturę, bo łatwiej mi z nią żyć. Dosyć szybko podnoszę się po różnych niepowodzeniach, przeżywam porażki, ale dosyć szybko wyciągam z nich wnioski. Chyba dzięki temu jestem łatwiejsza we współżyciu. Poza tym, wierzę we własne siły, jestem waleczna, umiem zjednywać sobie ludzi, mam w sobie jakąś energię, którą ich zarażam i porywam.

Zapytam teraz o samochody, bo wiem, że to jedna z Pani namiętności – dlaczego porsche, a nie ferrari, czy jaguar, krótko mówiąc małe, ciasne i do tego głośne?

Bo porsche to bardzo romantyczny samochód. Rzeczywiście mały, z tyłu mieści się tylko gitara, i to wtedy, gdy się złoży siedzenia, a w bagażniku – torebka. Kiedy byłam w liceum, bardzo przeżywałam wyczyny sportowe Sobiesława Zasady; on wtedy jeździł właśnie porsche, to był taki szybki, mocny samochód, dla prawdziwego mężczyzny. Kiedy dowiedziałam się, że Wacek Kisieliwski, pianista, sprzedaje swoje czerwone 911,

pomyślałam: „Muszę je mieć!”. Ale okazało się, że to był straszny grat, naprawy pochłaniały majątek, bo nie było serwisów. Potem w latach 90. miałam porsche granatowe, a od roku znowu czerwone.

Samochód dla prawdziwego mężczyzny – zgoda, ale Pani jest kobietą?

Ale mam duszę sportowca, lubię sukcesy, to mi imponuje, to jest mi potrzebne, żeby zwalczyć swoje kompleksy.

A ma Pani kompleksy?

Całą masę. Jak sięgam pamięcią, to miałam kompleksy: że się nie podobam chłopcom, że źle wyglądałam, że mam złą figurę. Pamiętam spacerować w grupie, kiedy starałam się zwrócić na siebie uwagę innym zachowaniem, idąc z tyłu udawałam np. romantycznie zamysloną, rozpoetyzowaną dziewczynę. Czasem chłopcy dawali się na to nabrać. Potem zauważyłam, że sukces pozwala poczuć się pewniej, sukcesy nawet mnie trochę rozpuszczały.

Oprócz koni mechanicznych fascynują Panią też prawdziwe rumaki – woli Pani te uległe czy też narowiste, uparte?

Wolę uległe, dlatego że wiele razy spadałam z koni narowistych. Konie są różne – twarde, niewygodne, ale też miękkie, szerokie jak kanapy, takie, że płynie się podczas jazdy. Był czas, że potrafiłam zwieszać się pod brzuchem konia, to tzw. dżigitówka, czy jechać siedząc tyłem.

Wyobraźmy sobie, że jesteśmy na zawodach w Ascot i nie jest Pani dżokejem, jaki kapelusz Pani wybiera?

Tworzę, zresztą kapelusze w ogóle są twarzowe; piękne są te z kwiatami, z dużym rondem, ale moim ulubionym modelem jest kapelusz kowbojski. Zawsze miałam słabość do takich kapeluszy, od lat 70. przywoziłam je ze Stanów, Australii, często w nich występuję.

Zapytałam o wygląd kapelusza nieprzypadkowo. Jestem ciekawa, czy gdyby Maryla Rodowicz dostała się niegdyś na ASP, to w jakiej dziedzinie sztuki by się teraz realizowała?

Zgadza się, zdawałam na architekturę wnętrz i tkaninę artystyczną, ale w tej chwili najbliższe byłoby mi chyba projektowanie kostiumów, bo właściwie robię to przez całe życie. Wiem, w czym się dobrze czuję, obserwuję modę, kupuję żurnale...

W jakim okresie życia i kariery czuła się Pani najlepiej?

Każdy okres był inny. W latach 70., kiedy byłam flirtującą panienką, miałam bardzo dużo pracy, nie miałam mieszkania. Żyłam od koncertu do koncertu, od bankietu do bankietu, moje życie polegało na szaleńczych wyjazdach w trasy. W latach 80. nieustannie rodziłam, stan wojenny, trudne czasy dla artystów, piękno macierzyństwa i upiorność tamtej dekady. Lata 90. – nareszcie prawdziwy dom, potężny mężczyzna, który potrafił powiedzieć, że nie będę grała w jakimś zadymionym klubie polonijnym w Nowym Jorku, bo bierze mnie pod opiekę. Pomógł mi też zawodowo, założył wytwórnię Tra la la, wydał 5 moich płyt. Problemy finansowe rzutują na spokój w rodzinie. Nie ma nic bardziej upokarzającego dla kobiety, niż wisieć bez przerwy na mężu i prosić go o pieniądze, gdyż mężczyźni nie są w stanie zrozumieć naszych potrzeb. Kobieta powinna sama zarabiać, a jeżeli nie może, to powinna dostawać pensję od męża...

Kto jest dla Pani autorytetem?

W codziennych sprawach na pewno mąż, ale też matka, która jest bardzo krytyczna, bardzo uważnie śledzi moją karierę. Po każdym występie w telewizji dzwonię do niej, a ona opowiada mi o swoich wrażeniach. Na ogół karci, ale potrafi też powiedzieć: „Wyjątkowo dobrze dzisiaj wypadłaś”. Po koncercie z Heleną Vondračkovą powiedziała: „Nie wolno ci nigdy więcej stać koło Heleny” – bo ona jest bardzo wysoka i szczupła, więc ja jej sięgam do pępka. Od tej pory nie staram się stawać na planie przy kimś drobniutkim (śmiech).

Pani życiowa dewiza?

Trzeba umieć zachwycać się światem, dawać innym dużo miłości, bo wtedy człowiek może liczyć na to, że też będzie kochany. Pomagać ludziom; w moim przypadku polega to na tym, że gram dużo koncertów charyta-



Fot. Universal

tywnych. Marzy mi się stworzenie fundacji dla kobiet i dzieci maltretowanych przez mężów i ojców, które nie mają gdzie uciec. Mam nadzieję, że zrealizuję kiedyś ten projekt.

Życzę Pani tego z całego serca i dziękuję za rozmowę.

Z Marylą Rodowicz rozmawiała Anna Godlewska.

GL100

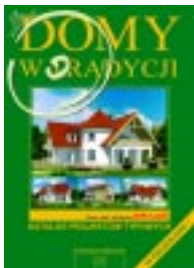
Dom jednorodzinny parterowy z poddaszem użytkowym (niepodpiwniczony). Powierzchnia użytkowa parteru i poddasza (bez garażu) 150,30 m². Powierzchnia garażu 19,70 m².



RZUT PARTERU

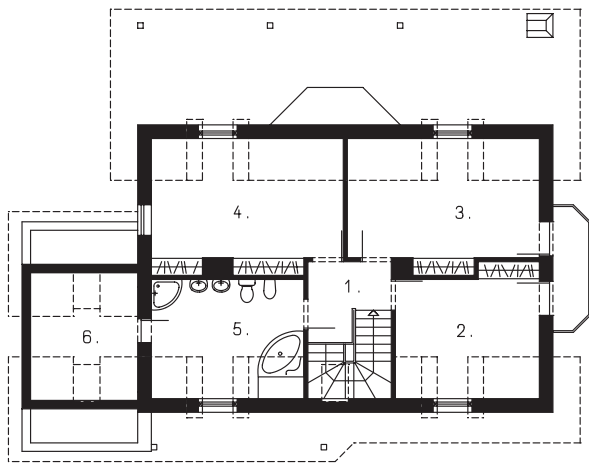
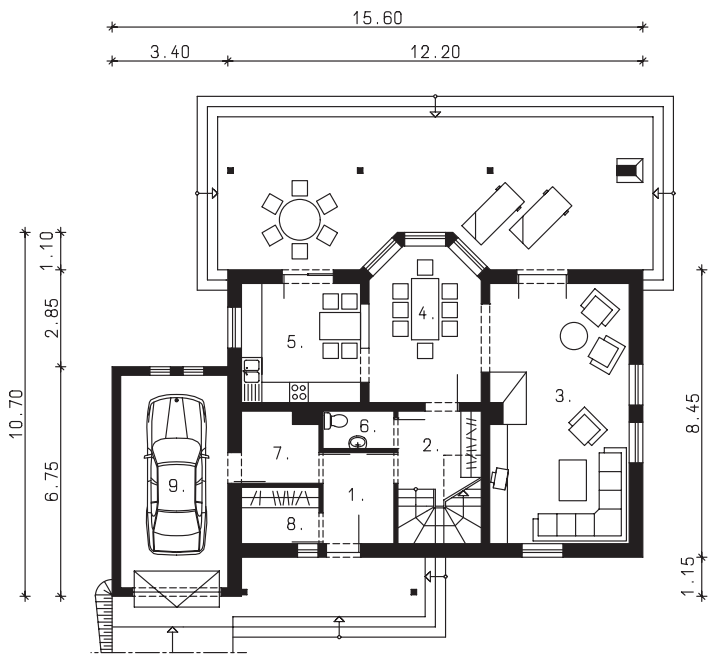
1	wiatrołap	5,55
2	hall z komunikacją	8,20
3	pokój dzienny	31,35
4	jadalnia	14,55
5	kuchnia	12,40
6	w.c.	2,30
7	kotłownia	4,55
8	garderoba	3,75
RAZEM [m ²]		82,65
9	garaż	19,70

STUDIO ATRIUM®
43-300 Bielsko-Biała, ul. Malczewskiego 1
tel. (033) 810 66 54
tel. (033) 816 40 69
tel./fax (033) 822 94 96



RZUT PODDASZA

1	hall z komunikacją	7,30
2	pokój	12,05
3	pokój	15,45
4	pokój	16,40
5	łazienka	11,75
6	schowek	4,70
RAZEM [m ²]		67,65



Elegancka lekka sylwetka, świetne proporcje, gustownie zestawione detale architektoniczne to tylko niektóre walory domku jednorodzinnego kryjącego się pod symbolem GL 100. Od frontu zadaszone wejście, dwie niewielkie lukarny w dachu. W bocznej ścianie szczytowej umieszczono dwa okna na parterze a nad nimi dwoje przeszklonych drzwi prowadzących na balkon. Zgrabna przybudówka po przeciwległej stronie to garaż zajmujący powierzchnię 19,70 m². Jednak o wdzięku tego projektu w największym stopniu decyduje elewacja ogrodowa. Dwoje tarasowych drzwi przedzielonych przeszklonym trapezowym ryzalitem, prowadzi na obszerny taras, nakryty łagodnie podniesionym przedłużeniem

spadzistego dachu, wspartego na drewnianych słupach z rozgałęzieniami zastrzałów u góry. Również i tę stronę budynku ożywiają lukarny. Drewniane elementy ozdobne dachu jak i okiennice dodają całości uroku. Dzięki zwartej bryle dom sprawia wrażenie niewielkiego, tymczasem powierzchnia użytkowa parteru i poddasza wynosi 150,30 m². Na dole projektanci, oprócz wiatrołapu i niewielkiego hallu ze schodami, przewidzieli pokój dzienny z kominkiem, kuchnię z jadalnią, garderobę i w.c., a także kotłownię przez którą mo-

żemy dostać się do garażu. Poddasze tworzą trzy pokoje, schowek, łazienka i hall. Jednorodzinny GL 100 to dom, którego cieplej rodzinnej atmosferze naprawdę trudno się oprzeć.



Wielki Brat, czyli dyktatura prostactwa

Są w życiu przykrości tak nieuniknione, że często wyczekujemy ich po to, by były już za nami. W zeszłym roku pracując w Niemczech, oglądałem ich *Wielkiego Brata*, potem przelotnie zobaczyłem go jeszcze we Włoszech i czekałem, aż przyjdzie nad Odrę i Wisłę, ponieważ nie mogłem nawet marzyć, żeby Polska się jakoś ostała w tym pochodzie miernoty i bezwstydu, który przetacza się dziś przez Europę.

Pisząc o miernocie i bezwstydzie, określał jasno swój osąd całego widowiska. Sam dobór określań, z których skorzystałem, kwalifikuje mnie od razu do mniejszościowej roli. Większość ogląda i większość nie może użyć pojęcia miernota, bo większość – jak sama nazwa wskazuje – jest właśnie średnia, czyli mierna.

Organ państwowy, który odpowiada za ład i porządek w eterze, ustami jednego ze swoich członków, a może i całej Rady, określił *Wielkiego Brata* jako apoteozę knajactwa i prymitywizmu. Same terminy są już staromodne. Knajactwo, czyli styl bycia i życia rodem z dzielnicy slumsów, okolic budki z piwem i poczekalni na dworcu, ma dziś dla wielu siłę atrakcyjną i wydaje się oznaką wyzwolenia z jakichś mieszczańskich konwenansów. Prymitywizm – to w oczach wielu niemal cnota. Jestem prosty (naprawdę: prostacki), a więc jestem prawdziwy. W tym sensie *Wielki Brat* i jego kuzyn z Polsatu mogą przyjąć oba epitety, jako swoistą pochwałę.

A jednak, w obronie pokrzywdzonych zniewagą Krajowej Rady na łamach „Rzeczpospolitej” wypowiada się rozumnie i klarownie obrońca wolności słowa. Autor pisze o sobie, że jest dorosły i sam ma zamiar dokonywać wyboru tego, co będzie oglądał w telewizji, i co będą oglądały jego dzieci. Zgodnie z tym postulatem, należy ludziom pokazywać wszystko, a oni sami wybiorą. Wedle jakiś sondaży, połowa widzów uważa, że takie programy, jak: *Wielki Brat* i *Dwa światy* są potrzebne, a skoro to jest połowa, to jakim prawem (zdaniem obrońcy słowa) organ państwowy coś ocenia. Przecież to jest ich prywatne zdanie, do oceny jest od-

biorca, czyli naród albo – żeby zabrzmiało nowocześniej – to konsument decyduje o kształcie programu. Autor pisze dalej, nie bez racji, że to wolny rynek jest podstawą demokracji i jeśli za szmirą głosują miliony, to nie wolno im jej odmawiać.

Zanim powiem, co sam myślę na ten temat, powróć do początku, w którym użyłem słowa, które dziś wyszło z obiegu (a po słowach, jak po owocach, można zawsze rozpoznać człowieka). Napisałem, że w takich programach występują ludzie bezwstydni. Nowocześnie byłoby powiedzieć, że są to ludzie bezpruderyjni i to słowo dość często pojawia się w innej gazecie, jedynej, która w stolicy przyjmuje płatne reklamy agencji towarzyskich (te są znowu złudną nazwą dla miejsca pracy prostytutek, czyli domów, które do niedawna nazywano publicznymi po to, by odróżnić je tym przymiotnikiem od innych prywatnych domów). „Bezpruderyjnie studentki całodobowo, na miejscu i u klienta” – po tym numer, często komórkowy, i dalej następna „Mariola puszysta” albo „długonoga ekskluzywnie”, albo też „tanio”, ale „bezpruderyjnie” zaspokoi wszystkie żądania klienta. Mąż jednej z nie-szczęśnic, występujących w *Wielkim Bracie*, powiedział o niej chępliwie, że była bezpruderyjna, a o tym, co znaczy to słowo, przekonał się w trakcie programu...

Znowu w „Rzeczpospolitej” autorka, Krystyna Grzybowska pisze, że do telewizji wtargnęło pospólstwo i prezentuje samo siebie w najbardziej efektywnym, wedle własnej oceny, świetle. A tymczasem, jak pisze inny autor naszej najwybitniejszej gazety, Robert Pucek: „Pospólstwo nie jest interesujące i z natury swojej nie ma kwalifikacji do dokonywania sensownych ocen”. W tym miejscu autor, pisząc o pospólstwie, podpira się myślą wielkiego filozofa, którego całe pokolenie, wychowane w trakcie trwania Peerelu, prawie nie zna. Jest nim Ortega y Gasset, autor proroczego *Buntu mas* – książki, którą dzisiaj powinniśmy czytać codziennie do poduszki. „Pospólstwo – pisze Ortega y Gasset – domaga się, by pospolitość stała się prawem”.

A dalej: „Człowieka pospolitego, czyli zwykłego prostaka poznajemy po samozachwycie i tym, że od siebie samego niczego nie wymaga”. Innymi słowy, otaczając go cywilizację traktuje on jak dzieło natury i do głowy mu nie przychodzi, by pomyśleć o heroicznych wysiłkach genialnych jednostek, które doprowadziły świat do jego obecnej postaci.

Dyktat pospolitości, prostactwa czy też średniactwa oznacza pewną dosyć istotną zmianę, którą w dzisiejszej kulturze przeżywamy. Ginie poczucie wartości, do których trzeba się wspinać, dochodzić mozolną drogą; ginie wiara, że inni mogą być od nas lepsi, i że warto się z nimi mierzyć i włożyć w to pracę nad sobą, a tą drogą wyrastać coraz wyżej, wznosić się ponad przeciętność. Dyktat pospolitości zabija dynamikę i dlatego jest niebezpieczny. Brak dynamiki grozi śmiercią kultury i cywilizacji.

Pierwszy z cytowanych autorów boi się o wolność słowa. Gdyby był konsekwentny, musiałby walczyć także o to, by wolno było głosić każde kłamstwo (na przykład o Oświęcimiu), bo inaczej cierpi wolność słowa. Krajowa Rada próbuje dać sygnał, że jesteśmy świadkami erozji poczucia godności i wstydu – stróże wolności powiedzą, że możemy wybierać, jak chcemy. Autor, który broni zdania średniego człowieka, mówi: „Dajmy mu wybór i uszanujmy ten wybór, bo kim my jesteśmy, żeby czegoś zakazać? Jesteśmy dorośli, wybieramy sami i wybieramy też za nasze dzieci” (pisze autor, który chyba ma wiele czasu, by pilnować domowego telewizora). Chce mi się przyjść mu z pomocą. *Wielki Brat* to jeszcze małe piwo (aluzja do budki z piwem). W telewizji można transmitować na żywo: miłość i śmierć. Egzekucje i kopulacje. Czy w ramach walki o pełną wolność słowa będziemy bronić tych programów? A jeśli istnieje większa wartość niż to, żeby było wszystko wolno – a tą wartością jest życie, któremu wolność zagraża – to czy będziemy wybierać wolność? Ja wolę życie.

Krzysztof Zanussi



ROMANTYCZNY STYL Z PRENUMERATĄ



jeszcze TANIEJ !!!

Przypominamy warunki prenumeraty:

- Prenumeratę można zamówić na okres 12 miesięcy (6 numerów) z wyprzedzeniem co najmniej 4-tygodniowym.
- Prenumeratę należy opłacić w banku lub na poczcie (korzystając z kuponu zamieszczonego obok).
- Reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy (np. numeru marcowego do końca kwietnia).
- Koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na poczcie ponosi zamawiający.
- Koszty przesyłki czasopisma na terenie kraju ponosi wydawca.

odcinek dla poczty		odcinek dla banku		odcinek dla właściciela rachunku		odcinek dla wpłacającego	
słownie		słownie		słownie		słownie	
WPLACAJĄCY		WPLACAJĄCY		WPLACAJĄCY		WPLACAJĄCY	
imię		imię		imię		imię	
nazwisko		nazwisko		nazwisko		nazwisko	
adres		adres		adres		adres	
ulica, nr domu i mieszkania		ulica, nr domu i mieszkania		ulica, nr domu i mieszkania		ulica, nr domu i mieszkania	
- - - - -		- - - - -		- - - - -		- - - - -	
kod pocztowy		kod pocztowy		kod pocztowy		kod pocztowy	
miejscowość		miejscowość		miejscowość		miejscowość	
telefon		telefon		telefon		telefon	
na rachunek		na rachunek		na rachunek		na rachunek	
Studio Atrium 43-300 Bielsko-Biała, ul. Malczewskiego1 BRE BANK SA o/Białsko-Biała 11401049-00-498960-PLNCURR01		Studio Atrium 43-300 Bielsko-Biała, ul. Malczewskiego1 BRE BANK SA o/Białsko-Biała 11401049-00-498960-PLNCURR01		Studio Atrium 43-300 Bielsko-Biała, ul. Malczewskiego1 BRE BANK SA o/Białsko-Biała 11401049-00-498960-PLNCURR01		Studio Atrium 43-300 Bielsko-Biała, ul. Malczewskiego1 BRE BANK SA o/Białsko-Biała 11401049-00-498960-PLNCURR01	
data		data		data		data	
opłata		opłata		opłata		opłata	
podpis		podpis		podpis		podpis	

RS

ROMANTYCZNY STYL

W N A S T Ę P N Y M N U M E R Z E



wyberzemy się do
GWATEMALI

porozmawiamy z
KATARZYNA SKRZYNECKĄ
HANKĄ BIELICKĄ
JOSE TORRESEM
oraz
TOMASZEM STAŃKO



zaprosimy Was do
DOMU PEŁNEGO KOLORU



ilość egz.	okres prenumeraty 1 rok (6 nr)	oszczędzasz	począwszy od numeru
1	22,47 zł	6,93 zł	
2	42,80 zł	16,00 zł	
3	60,99 zł	27,21 zł	
4	81,32 zł	36,28 zł	
5	101,65 zł	45,35 zł	
6	121,98 zł	54,42 zł	
7	142,31 zł	63,49 zł	
8	154,08 zł	81,12 zł	
9	173,34 zł	91,26 zł	
10	192,60 zł	101,40 zł	

Koszt wysyłki pokrywa Wydawnictwo Studio Atrium
Kod Klienta (id)
Upoważniam Wydawnictwo Studio Atrium do wystawienia faktury VAT bez podpisu odbiorcy

NIP:..... podpis:.....
Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych dla potrzeb Wydawnictwa Studio Atrium zgodnie z ustawą z dn. 29.08.97 o ochronie danych osobowych Dz.U.97.133.833. Za skutki nieczytelnego lub mylnego wypełnienia blankietu ponosi odpowiedzialność wyłącznie wpiatający

ilość egz.	okres prenumeraty 1 rok (6 nr)	oszczędzasz	począwszy od numeru
1	22,47 zł	6,39 zł	
2	42,80 zł	16,00 zł	
3	60,99 zł	27,21 zł	
4	81,32 zł	36,28 zł	
5	101,65 zł	45,35 zł	
6	121,98 zł	54,42 zł	
7	142,31 zł	63,49 zł	
8	154,08 zł	81,12 zł	
9	173,34 zł	91,26 zł	
10	192,60 zł	101,40 zł	

Koszt wysyłki pokrywa Wydawnictwo Studio Atrium
Kod Klienta (id)
Upoważniam Wydawnictwo Studio Atrium do wystawienia faktury VAT bez podpisu odbiorcy

NIP:..... podpis:.....
Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych dla potrzeb Wydawnictwa Studio Atrium zgodnie z ustawą z dn. 29.08.97 o ochronie danych osobowych Dz.U.97.133.833. Za skutki nieczytelnego lub mylnego wypełnienia blankietu ponosi odpowiedzialność wyłącznie wpiatający

ilość egz.	okres prenumeraty 1 rok (6 nr)	oszczędzasz	począwszy od numeru
1	22,47 zł	6,93 zł	
2	42,80 zł	16,00 zł	
3	60,99 zł	27,21 zł	
4	81,32 zł	36,28 zł	
5	101,65 zł	45,35 zł	
6	121,98 zł	54,42 zł	
7	142,31 zł	63,49 zł	
8	154,08 zł	81,12 zł	
9	173,34 zł	91,26 zł	
10	192,60 zł	101,40 zł	

Koszt wysyłki pokrywa Wydawnictwo Studio Atrium
Kod Klienta (id)
Upoważniam Wydawnictwo Studio Atrium do wystawienia faktury VAT bez podpisu odbiorcy

NIP:..... podpis:.....
Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych dla potrzeb Wydawnictwa Studio Atrium zgodnie z ustawą z dn. 29.08.97 o ochronie danych osobowych Dz.U.97.133.833. Za skutki nieczytelnego lub mylnego wypełnienia blankietu ponosi odpowiedzialność wyłącznie wpiatający

ilość egz.	okres prenumeraty 1 rok (6 nr)	oszczędzasz	począwszy od numeru
1	22,47 zł	6,93 zł	
2	42,80 zł	16,00 zł	
3	60,99 zł	27,21 zł	
4	81,32 zł	36,28 zł	
5	101,65 zł	45,35 zł	
6	121,98 zł	54,42 zł	
7	142,31 zł	63,49 zł	
8	154,08 zł	81,12 zł	
9	173,34 zł	91,26 zł	
10	192,60 zł	101,40 zł	

Koszt wysyłki pokrywa Wydawnictwo Studio Atrium
Kod Klienta (id)
Upoważniam Wydawnictwo Studio Atrium do wystawienia faktury VAT bez podpisu odbiorcy

NIP:..... podpis:.....
Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych dla potrzeb Wydawnictwa Studio Atrium zgodnie z ustawą z dn. 29.08.97 o ochronie danych osobowych Dz.U.97.133.833. Za skutki nieczytelnego lub mylnego wypełnienia blankietu ponosi odpowiedzialność wyłącznie wpiatający

Jak powstawały wnętrza domów i jak tworzyła się ich atmosfera w okolicznościach, w jakich przyszło nam żyć przez ubiegłe dziesięciolecia? Ano, zapewne tak, jak w przypadku wszystkich innych drobnych zjawisk kulturowych w kraju, uwarunkowanych jedynie wrażliwością osobistą, z niezgody na brzydotę, z odrazy do tandety i martwoty przedmiotów dostępnych w handlu. Często rodziły się też z tęsknoty za tym, co zostało zniszczone bezpowrotnie. Dom to nie tylko budynek i sprzęty, ale miejsce życia. Atmosfera panująca w domu, pozwalała kultywować tradycyjne obyczaje nawet wtedy, gdy stawało się to coraz trudniejsze.



Elegancki kącik kawowy rozświetlony promieniami południowego słońca.

Co kryje się?
za szarym murem



„*Między te niby moje, ale ciągle tajemniczo milczące sprzęty, upchnęłam renesansową chrzcielnicę. Wypełniłam ją roślinami, a więc i wodą – tak jak do tego przywykła*”.

W czasach mojej młodości nikt z mojego środowiska nie mógł mieć tego, o czym marzył, ani nawet tego, co było mu naprawdę potrzebne. Przez kilkadziesiąt lat nigdy nie mogłam kupić sobie niczego, co byłoby przydatne do urządzenia domu. Wszystko trzeba było „zdobywać”. Wanna i piec (na węgiel) – pochodziły z rozbioru innego domu, szafka do kuchni – została wyrzucona wcześniej przez kogoś, a wiele moich podniszczonych mebli również pochodziło „z odzysku”. Wszystko to było przypadkowe. Przywracane życiu, wrastało jak drzewa między stare tkaniny, które nauczyłam się rozróżniać i cenić jeszcze w dzieciństwie. To właśnie one są dla mnie najważniejsze. Pierwsze padały ofiarą tumultu i ciasnoty, która panowała w powojennych dziesięcioleciach. Dywany, kilimy, makaty, hafty – podarte, pocięte i żerane przez mole, poniewierały się po strychach i piwnicach. Przeszkadzały w przepelnionych mieszkaniach, by skoń-

czyć swój żywot jako wycieraczki do butów na klatkach schodowych. A przecież to właśnie tkaniny i światło tworzą niepowtarzalny klimat wnętrza. Jeśli ktoś nie wierzy, niech rzuci na gołe deski stary dywan i zapali lampę z abażurem, dającym ciepłe światło, a zobaczy, że znalazł się w salonie.

Wśród sprzętów, które udało się ocalić od zagłady, znalazł się zbiór mebli ludowych, polichromowanych, pochodzących z Dolnego Śląska. Wiele z nich znajdowało się w chlewach i stajniach, na strychach i w komórkach gospodarczych. Wielokrotnie przemalowywane, lakierowane, często pozbawione nóg lub gzymsów, ciągle swoją formą stylową i proporcjami informowały o tym, czym są naprawdę. Kiedy podczas konserwacji spod wulgarnej powłoki zaczynała przeźierać pierwotna dekoracja – było to przeżycie, którego nie sposób porównać z czymkolwiek. W taki właśnie sposób spod sałatkowej zieleni wynurzyła się któregoś dnia data 1734, złoczone profile, wyszukany kolor tła, a na koniec w całej swej krasie ukazała się barokowa szafa, która służyła zapewne prowincjonalnej łoży masońskiej do przechowywania szat. Najbardziej zaskoczyła mnie skromna szafka, wysmarowana na brązowo i zalana olejem silnikowym, gdzie w środku ktoś umieścił hebrajski napis z pierwszą literą samogłoskową ALEF. Jak dotąd nikt nie potrafił odczytać jego znaczenia. Być może jest to słowo-zakłęcie, używane niegdyś w bardzo wąskim gronie gminy żydowskiej, osób żyjących w XVIII wieku w zamożnej wsi, w której mieszkali obok siebie katolicy, protestanci i masoni, liczna rodzina barona, chłopcy śląskie, Niemcy, Polacy i starozakonni.

Między te niby moje, ale ciągle tajemniczo milczące sprzęty upchnęłam renesansową chrzcielnicę, wyrzuconą przy remoncie na kupę gruzu. Wypełniłam ją roślinami, a więc i wodą – tak jak do tego przywykła. Jedna ze skrzyń jest grecka, a przyjechała na Śląsk zapewne nie inaczej, jak z partyzantami Belojanisa, którym Polska ofiarowała azyl. Ona też milczy. Nie wiem, czy skrywała broń, skarb czy może resztkę czyjejs nędzy. Dziś stoi pięknie odcyszczona, ma elegancko podcięty profil dna, lwie pazury, a jej oliwne drewno, napuszczone siarczkiem miedzi, przypomina kolorem antyczne monety.

Natomiast w rogu dużego pokoju króluje model żaglowca. Też przypadkowo, bo jakże by inaczej, był w Milanówku „w naprawie”, w czasie, gdy jego właściwe miejsce, czyli warszawska kamienica Fukierów, płonęła w powstaniu.

Mój dom stał się więc jakby sierocińcem, w którym pełno jest przypadkowych przedmiotów, przypadkowo ocalonych od zagłady. Wbrew pozorom, pasują one do siebie, jak wszystko to, co równe sobie, choć całkowicie różne.



Atmosferę tego miejsca wzbogaca stara grecka ikona.

Ocalone od zniszczenia drobiazgi pokazują się gościom jako stare martwe natury.



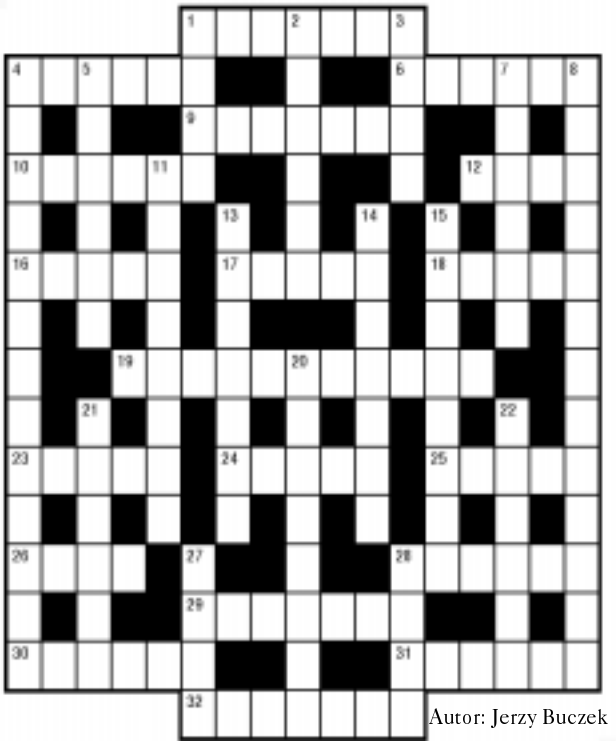
Różnorodność mebli stwarza niepowtarzalny nastrój salonu.

- POZIOMO:

1) romantyczny przy świecach.
4) zbić je – może coś się zmieni.
6) stary z brodą.
9) miecz po przekuciu.
10) dobre miejsce na wieżę.
12) kopia i strzelają.
16) podkreśla, tuszuje, zdobi.
17) Nirvana lub Grand.
18) powała lub... chmur.
19) esy-floresy z perłowej masy.
23) skarbów starej skrzyni strzeże.
24) czas Berniniego.
25) zabuduj – lub rzeźbę w nią wstaw.
26) imię z Księżyca.
28) fortepianowy punkt na bursztynowym szlaku.
29) pod tympanonem.
30) zabudował Pole Marsowe.
31) w spiżarni Adama.
32) dźwięków lub spadających gwiazd.
- PIONOWO:

1) gołębie z prasim mlekiem.
2) 2 Kantora.
3) prawdziwej miłości nie zeżre.
4) dolce far niente.
5) filiżankowa kompania.
7) to, co cię bierze w kaloryferze.
8) nowe miejsce, nowe znajomości.
11) podsufitowy luminarz.
13) niedyspozycja wieku.
14) azyl ogrodowych kochanków.
15) zwilżana łzami 24 godziny na dobę.
20) kraina starych kufrów.
21) na tympanonie.
22) jego głowicą – kamień odrzucony przez budujących.
27) muzyka Gołców.
28) Danczowska.

Wśród czytelników, którzy nadeślą prawidłowo rozwiązaną krzyżówkę, rozlosujemy nagrody w postaci kosmetyków firmy FLORINA. Natomiast wśród osób wylosowanych dodatkowo rozlosujemy nagrodę główną, którą będzie portfel skórzany ufundowany przez firmę WITTCHEN Sp. z o.o. z Łomianek k/Warszawy.



Autor: Jerzy Buczek



43-300 Bielsko-Biała, ul. Malczewskiego 1
tel. (033) 810 66 54; tel. (033) 816 40 69; tel./fax (033) 822 94 96



Romantyczne domy projektowane
z myślą o TOBIE.*

* Dom pod Warszawą według projektu GL 25 z katalogu „DOMY W TRADYCIJ”
www.studio-atrium.com.pl

RS

ROMANTYCZNY STYL

WIELKI KONKURS !!!

NA NAJBARDZIEJ ROMANTYCZNĄ HISTORIĘ

- WASZĄ WŁASNĄ
- CUDZĄ
- ZMYŚLONĄ
- WYMARZONĄ
- JAKĄKOLWIEK,
BYŁE NAJBARDZIEJ ROMANTYCZNĄ!

Opisaną historię, (wraz z ewentualnymi zdjęciami lub ilustracjami) prosimy przysyłać listownie na adres redakcji: konkurs@romantycznystyl.pl. Spośród nadesłanych prac zespół redakcyjny wybierze 3 najpiękniejsze i najbardziej wzruszające historie, które zostaną zaprezentowane na łamach „Romantycznego Stylu”. Na zwycięzców i wyróżnionych czekają niezwykle atrakcyjne nagrody:

- ROMANTYCZNA WYCIECZKA
- ROMANTYCZNY WIECZÓR
- ROMANTYCZNE PRZEDMIOTY...

Termin nadsyłania zgłoszeń: 7 września 2001 r. Ogłoszenie wyników w nr 6/2001



Veblen po wieku

Znamienity socjolog amerykański (pochodzenia norweskiego) Thorstein Veblen napisał w 1899 do dzisiaj klasyczną, czytaną i dyskutowaną pracę (a w naukach społecznych taka długowieczność dzieła to rzecz doprawdy rzadka) pod tytułem *Teoria klasy próżniaczek*. Dowodzi w niej – w największym oczywiście skrócie – że tym, co wyróżnia arystokratę czy gentlemana, jest przede wszystkim nieróbstwo. Praca zarobkowa być może nie hańbi, obniża jednak pozycję społeczną i degraduje. Prawdziwy gentleman oddawać się może tylko rozrywkom typu: polowania (nawet jeśli będą z tego pasztery, ale nie on je przecież będzie pitrasił), gra w golfa, lektura literatury pięknej, podróżowanie, polityka, protegowanie artystów... Oczywiście, wolno mu mieć dziwaczne nawet hobby. Książka Thorsteina Veblena dotyczy wprawdzie świata anglosaskiego, ale sprawdza się i gdzie indziej. Jeśli chodzi o Francję, to jej królowie pozwalali sobie na hobby (tutaj mówi się „violon d’Ingres” od słynnego malarza, który amatorsko lubił sobie pograć na skrzypcach) zgola ekstrawaganckie. I tak, Ludwik XV komponował sosy do mięs, a niekiedy nawet udawał się do kuchni i własnoręcznie przygotowywał wykwintne dania dla zaproszonych gości. Ludwik XVI, skądinąd maniak polowań, bawił się też w ślusarkę, ze szczególnym upodobaniem do konstruowania wymyślnych zamków. Gruby Ludwik XVIII wykonywał chętnie małe prace stolarskie, a niekiedy i tapicerskie. Napoleon III układał krzyżówki, acz szło mu to nie najlepiej, gdyż był ogromnie słaby w ortografii i nawet najusłużniejsi doradcy nie zawsze mogli rozwiązać zadania, w których zamiast prawidłowych siedmiu słowo miało nagle dziewięć liter. I tak dalej i tak dalej...

Jak widać, sytuacja europejskich bezrobotnych nie odbiega wiele od losów gentlemanów, arystokracji i francuskich królów. Też nie mogą, acz z zupełnie innych powodów, pracować i też mogą w związku z tym poświęcić się swoim ulubionym, ubocznym zajęciom. Tutaj od razu zastrzeżenie. Ja sobie nie pokpiwam. Rozumiem doskonale, jaką plagą społeczną jest bezrobocie i jakie wywołuje psychiczne spustoszenie. Powtarzam – jestem tego w pełni świadomy. Ale, ale... Kiedy patrzę na bezrobotnych w mojej francuskiej wiosce (a identyczne wrażenie odniosłem podczas ostatniego pobytu na polskim Podkarpaciu), odnoszę bardzo mieszane wrażenia. Owszem, widzę i rozumiem obiektywne, bolesne trudności, z którymi są skonfrontowani; jednocześnie zadziwia mnie niekiedy bierność i aprioryczna rezygnacja, z jaką do tych przeszkód życiowych podchodzą. Nie mówię o ludziach starszych, których sytuacja jest rzeczywiście niekiedy beznadziejna. Ale bezrobotni w kwiecie sił i wieku. A któż im przeszkadza zając się choćby szlifowaniem kluczy, jak to robił Ludwik XVI? Zawszeć jest to i rozpędzenie frustrującej nudy i parę groszy może wpaść do kieszeni.

Kiedy w moim miasteczku zwracałem się do szeregu ludzi bez pracy narzekających, że nie się nie opłaca, z propozycją, by zajęli się moim ogrodem (a oferta finansowa nie była wcale najgorsza), nie znalazłem ani jednego chętnego, acz praca ogrodnika jest podług chińskich porzekadeł najszlachetniejszą na świecie. Nie jest to bynajmniej specyfika zabojadzka. Opisywałem w „Polityce” casus czarnej porzeczek pod Rzeszowem. Poszła wieść, że opłaci się ją hodować. Jeden z gospodarzy obsadził więc nią pełne cztery hektary. Niestety od czasu zasadzenia do zbioru owoc staniał dziesięciokrotnie. Wściekły

pojechał do miasteczka i wywiesił ogłoszenie na kościele, że każdy może wziąć sobie od niego porzeczkę za darmo. Następnego dnia przyjechało ponad czterdzieści samochodów. – Agdzie te porzeczeki? – Prowadził za dom i pokazał swoje hektary. – To Pan myślał, że my będziemy sami zbierać!? Wskoczyli w samochody i odjechali obrażeni. Fakt, że za darmo, nie zrobił na nich najmniejszego wrażenia.

„Romantyczny Styl” opisuje nam przepiękne ogrody. W modzie – jak mi się wydaje – jest styl angielski, ale Wersal też by nie zaszkodził. Kwiecie przy alejkach należy dobierać tak, by o każdej porze roku był pełen bukiet barw, co nie jest w końcu takie trudne, gdyż flamandzka firma Holland (nie mylić z Agnieszką – reżyserem filmowym) dostarczy cebulek i sadzonek na każdą okazję. Ja to z całego serca popieram, mnie to cieszy i pamiętam o ogrodach „przecież stamtąd wyszliśmy”, ale to jest jednak oferta dla ludzi dostatecznych. Tymczasem jadąc przez Polskę, widzi się przed domami wysypiska śmieci, brud, zardzewiałe nie wiadomo co, deski i sterty piachu. A wtedy rodzi się pomimo wszystko i przy całym współczuciu to natrętne pytanie: jeżeli na Podkarpaciu jest na wsi sześćdziesiąt procent bezrobotnych, czy nie mogliby w tych nazbyt licznych wolnych chwilach uprzątnąć przed wrotami, zasadzić jakieś kwiatki, coś pobielić, coś odnowić... Przecież to naprawdę nie kosztuje. Tu nie chodzi ani o palmiarnie, ani aleje modrzewiowe, ani nawet geometryczne klomby z egzotycznymi okazami. Proste minimum estetyki. A wtedy zdarzy się, że częściej zatrzyma się jakiś urzeczony turysta, kupi jajka albo pomidory, a może nawet będzie chciał się zatrzymać na lato... Ale coś zrobić trzeba, same skargi nie starczą.

Ludwik Stomma